Nr. 181. Lwów — Piątek dnia 9 Sierpnia. Rok 1907.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Wychodzi w dni powszed. o godzinie 9 po południu z datą dnia następnego.

Reklamy po kronice wiersz petit. 1 K. Rękopismów Redakcya nie zwraca. Niefrankowanych listów nie przyjmuje.

Dziś: 9 pt. św. Romana i Sek. Pantelejmona | Jutro: 10 sob. św. Wawrzyńca, Prochora i Nik.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.

Wschód słońca o godz. 4 min. 17, Zachód „ „ 6 „ 39. Długość dnia godzin 14 min. 22. Ubyło dnia od wczoraj 4 min.

Reprezentacya rolnictwa w parlamencie.

Interesa rolnictwa nie miały dotąd w parlamencie wiedeńskim stosownie do swej ważności silnej, zorganizowanej i świadomej celów swoich reprezentacyi. Gdy Izbę posłów unieruchomiły spory narodowościowe, wskutek czego ona z trudnością i wielkim wysiłkiem od czasu do czasu zdobyć się mogła na załatwienie jakiejś sprawy czysto politycznego znaczenia, wtedy oczywiście sprawy realne albo leżały odłogiem, albo bywały przepytlowywane. W ten sposób przepytlowano np. taryfę cłową, bez uwzględnienia dokonania w niej tak pożądanych przez rolnictwo zmian, dotyczących zaprowadzenia ceł na surowce dla przemysłu tkackiego, na skóry surowe, sierść, zwierzęce tłuszcze i w ogóle na surowe materyały zwierzęce, oraz podniesienia tych materyałów stosownej granicznej kontroli weterynarskiej, jakoteż obowiązkowi desynfekcyi. Izba posłów, nie mająca zorganizowanej reprezentacyi rolnictwa, któraby bez różnicy stronnictw politycznych stanowiła zwartą większość w sprawach rolniczych, nie była w stanie wywrzeć w danym wypadku odpowiedniego wpływu na rząd, ani też wogóle przeprowadzić tej sprawy w chaosie drobiazgowych awantur narodowościowych. Podobnem fiaskiem dla rolnictwa skończyła się z tego samego powodu sprawa zakazu terminowego handlu zbożem, gdyż z tego samego też powodu Izba posłów, będąc zupełnie silną, nie umiała i nie mogła utrzymać swojej powagi wobec Izby panów. Następstwem tego było znów fiasko akcyi przeciwko terminowemu handlowi zbożem. Izba posłów uchwaliła ustawę o takiej stylizacyi, iż zabraniała ona poddanym austryackim spekulacyi terminowych na budapesztańskiej giełdzie zbożowej. Tymczasem w Izbie panów ustawa ta uległa takim zmianom, iż obecnie jeszcze panują pod tym względem chaotyczne stosunki.

Jeżeli taki los spotykał najważniejsze kwestye polityki agrarnej w starej Izbie, to cóż się z niemi stać może w nowej, w której tak wielką frakcyę tworzą socyaliści? A niebezpieczeństwo, które w chwili obecnej grozi rolnictwu w parlamencie od strony socyalistów jest tem większe, że na porządku dziennym polityki agrarnej stoją, jako najważniejsze i pierwszorzędne, sprawy o wybitnie socyalnym charakterze. Pomiędzy niemi pierwszą jest sprawa zatrważającego braku robotników i służby rolnej, oraz uregulowanie stosunku tej służby do właścicieli przedsiębiorstw rolnych. Po niej idą sprawy: oddłużenia własności ziemskiej, tak wielkiej, jak i małej, tj. tabularnej i chłopskiej, usunięcia lichwy rolniczej, uprawianej przez handel pośredniczący, ograniczenie rozdrabniania ziemi przez dziką parcelacyę spekulacyjną itd. Wszystko to są sprawy dla rolnictwa znaczenia zasadniczego, a zarazem, jako wybitnie socyalne, sięgające istotnie w program socyalistów. Socyaliści, którzy pod płaszczykiem przyjaźni dla chłopów i popierania ich interesów wytrwale i świadomie dążą do zupełnego sproletaryzowania małorolników z jednej strony, a z drugiej do odebrania większym przedsiębiorstwom rolniczym możności racyonalnej gospodarki, a zatem do zmuszenia ich właścicieli do wyzbywania się ziemi—są z powodu tych swoich dążeń we wszystkich sprawach rolniczych o socyalnem znaczeniu zasadniczymi wrogami wszelkiego zdrowego rozwoju rolnictwa i nie omieszkają zapewne wytężyć wszystkich sił swoich, ażeby na każdym kroku i każdym sposobem uniemożliwić lub przynajmniej utrudnić pomyślne dla rolnictwa załatwienie ważnych jego spraw, na które wskazaliśmy wyżej.

To też gdyby w nowej Izbie rolnictwo nie zdołało silnej, krzykliwej i w taktyce niezwykle bezwzględnej frakcyi socyalistycznej przeciwstawić odpowiednio silnej i odpowiednio zorganizowanej reprezentacyi swoich interesów, natenczas los spraw agrarnych w nowej Izbie byłby niezwykle smutny.

Wielkość niebezpieczeństwa tego ocenili posłowie wszystkich stronnictw politycznych, a z zawodu rolnicy. Następstwem wzmiankowanego niebezpieczeństwa jest projekt zorganizowania w parlamencie indyferentnego zupełnie pod względem politycznym zjednoczenia rolników. Organizacya ta otrzymała nazwę „Wolnego rolniczego Związku“ (*Freie agrarische Vereinigung*), a statut jej tak jest opracowany i wystylizowany, iż posłowi, należącemu do jakiegobądź stronnictwa, ani względy polityczne, ani narodowe nie staną na przeszkodzie przed wstąpieniem do tego Związku. Podczas krótkiego pierwszego peryodu posiedzeń nowej Izby nie było jeszcze czasu na dokładne skrystalizowanie planu taktycznego tego Związku, zasadnicza jednak myśl jego przyjętą została przez wszystkich rozumnie myślących posłów, wybranych ze wsi, ogromnie przychylnie i z wielkiem uznaniem. Wedle złożonych już zasadniczych deklaracyj liczyć można, że do Związku przystąpi na pewno 263 posłów z najrozmaitszych stronnictw i rozmaitych narodowości. Spodziewać się można, że po dokładnem określeniu planu taktycznego tego rolniczego zjednoczenia przystąpi doń liczba posłów znacznie jeszcze większa. Rozpoczęte obecnie ferye parlamentarne posłużyć mają inicyatorom Związku do stosownej za nim agitacyi i do spopularyzowania jego idei. Zaraz po feryach odbędzie się ostateczne ukonstytuowanie Związku, po którem wewnętrzne skonsolidowanie się jego nastąpi prawdopodobnie już i rychło i łatwo. Jak powstanie tego Związku życzliwie powitać należy, tak i gorąco pragnąć należy, ażeby praca jego była owocną. Bowiem nietylko już wymienione wyżej zasadniczego znaczenia sprawy agrarne oczekują corychlejszego załatwienia przez parlament, ale w najbliższym czasie zjawią się na stole Izby poselskiej sprawy tak dla rolnictwa ważne, jak: traktaty handlowe z państwami bałkańskiemi, ugoda z Węgrami, sprawa zwalczania terminowego handlu zbożem i mąką za pomocą giełd pozaaustryackich, sprawa kartelów itp.

Sama jednak liczba posłów, którzy czy to już oświadczyli się zasadniczo, że przystępują do Związku, czy to w przyszłości jeszcze do niego przystąpią — nie zaważy dostatecznie na szali jego wpływów parlamentarnych. Potrzeba jest jeszcze, ażeby nietylko kierownictwo Związku spoczęło w rękach wytrawnych, ale ażeby wewnątrz Związku wytworzyła się odpowiednio poważna i rozumna większość. Jak bowiem wyżej podnieśliśmy, na pierwszym planie spraw rolniczych stoją w danej chwili sprawy, o wybitnie społecznym charakterze; a sprawy takie zawsze kryją w sobie pewne niebezpieczeństwa, przedewszystkiem zaś niebezpieczeństwo teoretyczno-radykalnego ich traktowania i niebezpieczeństwo przesunięcia ich punktu ciężkości na grunt polityczny. Niektóre zaś ze spraw bieżących, jak np. sprawa dzikiej parcelacyi, lub nawet sprawa braku robotników rolnych, z trudnością tylko da się rozstrzygnąć w parlamencie i to tylko w granicach ustaw ramowych. Tu więc także kryje się pewne niebezpieczeństwo kolizyi między zakresem parlamentu i sejmów.

Tedy równie jak życzliwie przyjmujemy myśl i powstanie Związku, tak gorąco pragniemy, ażeby wytworzyła się w nim większość poważna i ażeby kierownictwo jego spoczęło w rękach ludzi wytrawnych, którzyby rzeczywiście tylko interesa rolnictwa naszego mieli na oku, a nie ulegali ani radykalnym wpływom socyalnym, ani postronnym wpływom politycznym.

Korespondencye.

Wiedeń 7 sierpnia.

(Wspomnienia z przed lat pięćdziesięciu.—Otwarcie kolei Południowej w roku 1857. — Jakie nadzieje przywiązywano do niej.)

(y). Przed kilku dniami upłynęło lat pięćdziesiąt od chwili, gdy w sposób uroczysty, w obecności Cesarza i przedstawicieli niemal wszystkich państw cywilizowanych, poświęcono i oddano do użytku publicznego wykończoną właśnie ostatnią część kolei Południowej, a mianowicie linię z Lublany do Tryestu i w ten sposób stworzono bezpośrednią komunikacyę kolejową między stolicą państwa, a morzem. Wspomnienie tego wypadku, tudzież nadziei, jakie pokładali w nim współcześni, budzi tem większe zajęcie w obecnej chwili, gdy drugie połączenie kolejowe z Tryestem jest na ukończeniu i za kilka miesięcy ma być oddane do użytku publicznego.

Otóż przedewszystkiem skonstatować należy, że i wtedy, gdy otwierano kolej Południową, znajdowały się wszystkie państwa kulturne, w ich liczbie także Austrya, w okresie wielkiego rozwoju ekonomicznego, wywołanego już to napływem złota z niedawno odkrytych kopalń w Kalifornii i Australii, już też zdumiewająco szybkiem wybudowaniem głównych sieci kolejowych w Europie. Wypadki te w ciągu niewielu lat zmodernizowały gospodarstwo ogólno-światowe i wywołały formalny przewrót całego życia kulturnego.

Ówczesna polityczna i ekonomiczna pozycya Austryi była bardzo poważna, a wspaniałe przeprowadzenie pierwszej w Europie budowy kolejowej przez Alpy, t. j. przez Semmering, świadczy, że i poziom nauk technicznych stał w Austryi wysoko. Austryacką kolej Południową budowano przez lat ośmnaście, t. j. od 1839 do 1857 i częściowo oddawano ją do użytku publicznego. W roku 1842 otwarto początkową jej linię z Wiednia do Gloggnitz, w r. 1844 otwarto linię z Mürzzuschlagu do Gracu, zaś najtrudniejszą jej część z Gloggnitz do Mürzzuschlagu, dopiero w dwanaście lat później, w roku 1846 posunięto się z Gracu do Cylei, w r. 1849 z Cylei do Lublany, 17 lipca 1854 otwarto wspomnianą wyżej pierwszą kolej alpejską w Europie przez Semmering, t. j. linię z Gloggnitz do Mürzzuschlagu, a w dniu 27 lipca 1857 ostatnią część tej wielkiej linii, również bardzo trudną pod względem technicznym, kolej przez Karst z Lublany do Tryestu.

Miała to być ogólno-światowa linia pierwszorzędnego znaczenia. Zdaniem bowiem Humboldta europejskie drogi handlowe formować się mogły wówczas tylko w dwóch kierunkach: jedna linia, korespondująca z Ameryką Północną, prowadzić powinna od ujścia Łaby do Adryatyku, a w dalszym ciągu do Indyi, kierunek zaś drugiej wskazywały łożyska Renu i Dunaju. Hamburg i Tryest miały być głównymi etapami na tej wielkiej drodze handlowej z Ameryki przez kontynent europejski do Indyi.

Skutkiem wybudowania kolei Południowej stworzono bezpośrednią komunikacyę lądową między Hamburgiem a Adryatykiem i zdawało się, że główny prąd wielkiego handlu światowego, z którego przez tyle lat miasta holenderskie, niemieckie i włoskie ciągnęły ogromne korzyści materyalne, skierowany zostanie raz na zawsze na Wiedeń i Tryest, względnie Wenecyę, która wówczas należała jeszcze do Austryi.

Wszyscy uczestnicy owej odbytej przed pół wiekiem uroczystości otwarcia kolei Południowej oddawali się tym, tak daleko sięgającym nadziejom, co więcej oni odczuwali, że kolej ta nabierze jeszcze nieskończenie większego znaczenia, gdy urzeczywistniony zostanie olbrzymi projekt Lessepsa budowy kanału Sueskiego, nad którego wykonaniem on już od kilkunastu lat niestrudzenie pracował. Nadziei tej, jaką żywiono wówczas w Austryi, dał wymowny wyraz minister finansów Bruck, wznosząc na bankiecie w Tryeście entuzyastyczny toast na cześć Ferdynanda Lessepsa. Anglia jednak wszystkiemi siłami przeszkadzała wówczas urzeczywistnieniu projektu budowy kanału Sueskiego, a lord Palmerston oświadczył w dniu 7 lipca 1857 w parlamencie, iż uważa ten projekt za olbrzymią bańkę mydlaną, na którą złapać się mają łatwowierni kapitaliści, i że zdaniem jego przedsiębiorstwo to jest fizycznie niewykonalne, a już absolutnie nigdy rentować się nie może. W Austryi tymczasem całkiem inaczej zapatrywano się wówczas na projekt kanału Sueskiego i entuzyazmowano się nim.

Już wtedy zrozumiano także, że jeżeli kolej Południowa ma w całej pełni oddawać państwu spodziewane korzyści, to należy ją uzupełnić przez wybudowanie drugiej linii, mającej połączyć Tryest i Wenecyę z okolicami nad Renem i nad górnym Dunajem. Dopiero wtedy mogłyby Tryest i Wenecya odgrywać na południu taką rolę, jaką odgrywały na Północy Hamburg i Brema. — Nadzieje te opierano na dwóch założeniach, a mianowicie, że ówczesne stanowisko mocarstwowe i terytoryalne Austryi zostanie utrzymane, i że po wybudowaniu kolei przez Brener, mającej w połączeniu z linią Werona-Wenecya stanowić owo drugie połączenie z Renem i górnym Dunajem, przez długi czas nie będzie mogła na terytoryum zagranicznem powstać żadna nowa kolej alpejska.

Nadzieje te jednak okazały się zwodniczemi zarówno w jednym jak i w drugim kierunku. Już po dwóch latach straciła Austrya Lombardyę, a w dziesięć lat później także Wenecyę, skutkiem czego zmieniły się zupełnie interesa Austryi na południu. Wenecya zamiast siostrzycą Tryestu, stała się jego konkurentką, ekonomiczny wpływ nowopowstałego królestwa włoskiego zwiększał się z każdym dniem, a wykończona w roku 1867 kosztem olbrzymich ofiar kolej przez Brenner, zamiast zasilać Tryest olbrzymimi transportami, stała się niebezpieczną dlań drogą dowozową dla konkurencyjnych portów włoskich, Wenecyi a w wyższej jeszcze mierze Genui. Jeszcze trudniejszem stało się położenie Tryestu, gdy wbrew pierwotnemu przewidywaniu zaczęto budować nowe koleje alpejskie, zwłaszcza kolej przez górę św. Gottharda i przez to Austrya traciła swój monopol panowania nad Alpami. Otwarcie kanału Sueskiego nic już nie mogło zmienić w tej, tak bardzo pogorszonej dla Austryi sytuacyi.

Dziś — wbrew marzeniom z przed lat pięćdziesięciu — Tryest żyje tylko tym ruchem handlowym, jakim zasila go własny kraj, skierowanie na Austryę wielkiej, ogólno-światowej drogi handlowej okazało się mrzonką — a handel międzynarodowy obrał sobie zupełnie inne drogi.

Za kilka miesięcy otwarte zostanie drugie połączenie kolejowe z Tryestem, będące niejako przedłużeniem sieci południowo-niemieckich kolei i nadające się z tego powodu niezrównanie lepiej na drogę handlową między północą a południem. O ziszczeniu górnolotnych planów, jakie żywiono w Austryi przed laty pięćdziesięciu, gdy otwierano kolej Południową, nikt dziś nie marzy, to też i tej drugiej linii kolejowej do Tryestu nie przypisuje dziś nikt ogólnoświatowego znaczenia, lecz wszyscy pragną, aby ona przyczyniła się bodaj do podniesienia Tryestu i tych prowincyi alpejskich, przez które przechodzi. To zaś jest nietylko możliwe, ale i prawdopodobne.

Wielka uroczystość polska w Danii.

Dr. Teofil Gerstmann, pisarz wysoko ceniony za swe niezrównane, ogromnie rozumne, bardzo dokładne, treściwe i stylowo piękne opisy podróży, udał się tego lata z JEks. Najprzewielebniejszym x. Arcybiskupem Bilczewskim do Danii i opowiada w *Gazecie Lwowskiej* niektóre wrażenia z tej podróży. W relacyi swej notuje naprzód, że w danej chwili przebywa w Danii kilka tysięcy robotników polskich:

„Pracują oni głównie na wyspach duńskich: Lalland, Falster, Fynen i na półwyspie Jutlandzkim. Centralnym punktem dla Polonii, pracującej na wyspach Lalland i Falster jest miasteczko Maribo. Piszą je także Miariabo — jest więc miasteczkiem Najśw. Panny, jeszcze z owych czasów, kiedy Dania nie odłączyła się od Kościoła katolickiego. Obecnie w całem Maribo przebywa stale tylko dziesięć osób wyznania katolickiego; kościół katolicki w Maribo służy więc potrzebom kilkutysięcznej ludności polskiej, rozrzuconej po wyspie Lalland i sąsiadującej z nią bezpośrednio wyspie Falster.

Miasteczko Maribo liczy 3149 mieszkańców, jest centralnym punktem wyspy Lalland i siedzibą władzy politycznej, tzw. „Amts-Aviso“.

Chcąc poznać stopień kultury jakiegoś narodu, nie należy brać miary z miast stołecznych, gdzie z natury rzeczy skupiać się muszą wszelkie czynniki kulturalne, lecz raczej zbadać, jak wyglądają wsie i miasteczka małe.

Otóż pobyt mój dwudniowy w Maribo dał mi właśnie możność poznania, jak wysoki jest stopień kultury narodu duńskiego. Wyobraźmy sobie miasteczko galicyjskie o 3000 mieszkańców i porównajmy je z miastem Maribo. Co za olbrzymia różnica!

Maribo jest poprostu miniaturą półmilionowej Kopenhagi; są tu te same czynniki kulturalne, tylko odpowiednio zmniejszone, a więc całe miasteczko od końca do końca brukowane i zaopatrzone wybornymi, gładziutkimi chodnikami z płytek szamotowych (a w stołecznym Lwowie 14 kilometrów ulic niebrukowanych); całe miasto oświetlone gazem, aż do najdalszych krańców; kilka hoteli schludnych; w hotelu pokoje tapetowane, wyłożone dywanami, meble zgrabne o nowych kształtach secesyjnych; nakrycie stołu nietylko przyzwoite, ale wprost ozdobne, jadło wyśmienite, pieczywo smaczniejsze niż wiedeńskie; a wszystko to w hoteliku, liczącym 17 numerów. Takich hotelików miniaturowych jest kilka, a wszystkie równie eleganckie.

Są dwie księgarnie (w miasteczku trzechtysięcznem!), jest muzeum, szkoła techniczna; sklepy nie ustępują w elegancyi swej sklepom wielkomiejskim, a największa strojnisia mogłaby się w nich od stóp do głów przystroić. Rzeczywiście, trudno pojąć te stosunki; wszak Maribo ma mniej mieszkańców, niż np. nasz Szczerzec, a w każdem mieszkaniu znajdujemy telefon!

Ale co dla nas najciekawsze i najważniejsze: w miasteczku duńskiem Maribo od lat trzech istnieje katolicki kościół polski, z Matką Boską Częstochowską, z chorągwią czerwoną z białym polskim orłem! A kościół ten katolicki śmiało nazwać mogę polskim, bo stanął za polski grosz składkowy! Zebraniem składek na ten cel ze wszystkich trzech dzielnic polskich zajął się duński kapłan katolicki x. Edward Ortved i dokonał szczęśliwie dzieła, postawiwszy piękny kościół z czerwonej cegły w stylu gotycko-skandynawskim, przypominającym w miniaturze zewnętrzny wygląd kościoła OO. Dominikanów w Krakowie. Obok kościoła wznosi się ozdobny budynek piętrowy, przeznaczony na probostwo, a tak obszerny, że z łatwością pomieścić może kilku zakonników.

Jakoż od kilku miesięcy, dzięki staraniom biskupa duńskiego x. Eycha i gorliwym zabiegom x. arcybiskupa Bilczewskiego, mieści się już w budynku parafialnym polska misya OO. Franciszkanów.

Na razie pracują tu trzej OO. Franciszkanie, dwaj Polacy x. Kalikst Figura, pełniący obowiązki proboszcza miejscowego i x. Euzebiusz Pelz i jeden Duńczyk x. Paweł Hyldts.

Polscy OO. Franciszkanie prawie ciągle są na wózku, objeżdżając wyspy Lalland i Falster, a nawet okolicę Rostocku w w. ks. Meklemburskiem, gdyż niepodobna żądać, aby pracujący na obczyźnie robotnicy polscy wszyscy do jednego kościoła polskiego w Maribo przybywali.

---

56)

Girolamo Rovetta.

Mater Dolorosa

Powieść

przełożyła z włoskiego *Karolina Dzieduszycka*.

(Ciąg dalszy).

Prosper Anatol wprost przebierał miarkę i zdawał się być już zupełnie pocieszonym po rozłączeniu się z Lallą. Zawsze coś miał do powiedzenia cichutko, na uszko, Julii. Obejmował ją w pół, a podając za pozór, że to jedyna córka, która mu pozostała, koniecznie chciał ją całować i ściskać; a raz spotkawszy się z nią pomiędzy drzwiami, po ciemku tak ją silnie przycisnął do siebie, że Julia, trochę poirytowana, odpychając go gwałtownie, rzekła:

— Spokojnie, spokojnie, kochany książę; jak na ojca, zanadto książę przyciska, a szczególnie jak na... świętego ojca!

Prosper Anatol poczerwieniał zmieszany, i już przez cały wieczór nie miał odwagi spojrzeć jej w oczy, ale zakłopotany patrzył w ziemię, odpowiadając Julii, kiedy ona zwracała się do niego z jakimś żartem lub dowcipem, żałując, że mu zbyt wielką przykrość zrobiła.

Tymczasem miss Dill z don Vincenzem ulotnili się, a jednocześnie i stara margrabina.

Kiedy wybiła północ, towarzystwo się rozeszło i każdy udał się do swego pokoju.

Prosper Anatol nie położył się zaraz, ale się wyciągnął na fotelu, obok łóżka stojącym. Myślał o Julii, o jej dumnej wymówce, o śmieszności, którą się okrył.... a obraz pięknej dziewczyny ciągle żywo stał mu przed oczyma. Czuł jeszcze ciepło jej ciała; widział śmiech jej ust wilgotnych, młodych, o białych ząbkach, wyglądających z czerwonych ust.

Jakże była piękna!.... Ach, gdyby on był jeszcze młodym, albo człowiekiem mogącym się podobać.

I myślą wchodził do jej pokoju, pragnąc jej... i pozostał przez czas nocnej jej tualety... Aby rozerwać się, chciał o córce myśleć, ale tysiące niesfornych dręczyło go obrazów.

— Panie Boże! cóż mi się to dzisiaj stało?

To były skutki szampana, którego pił za wiele. Jeszcze czas jakiś tak pozostał, potem wstał i wyszedł z pokoju.

I Marya także nie była jeszcze rozebraną. Przez długi czas pozostała wyciągnięta na fotelu; potem uklękła do modlitwy, a teraz pomodliwszy się, znowu płakała i szlochała, kiedy usłyszała lekkie, niepewne pukanie do drzwi:

— Wybacz, moja droga, chciałem z tobą pomówić — rzekł z po za drzwi Prosper Anatol, głosem niepewnym.

Marya pośpiesznie otarła oczy i otworzyła. Prosper Anatol wszedł do pokoju uśmiechnięty; ale w małych, siwych oczach błysnął zły humor, zastawszy żonę jeszcze ubraną. Marya tego nie spostrzegła, bo mąż wprost na nią nie patrzył ale z boku, a tymczasem rzucił się, jakby ginął ze znużenia, na małą kanapkę.

— Czego chcesz?

Prosper nie odpowiedział, ale się wyciągnął obok Maryi na kanapie, a drżącą ręką zaczął ją pieścić, odgarniając włosy z jej czoła.

— Po... jechała... — w końcu wybełkotał, widząc, że żona patrzała na niego niema, niewzruszona.

— Naprawdę odjechała na zawsze!... Teraz jak wi... widzisz, czuję cały smu... smutek z tej bo... bolesnej pu... pustki, rady sobie dać nie mogę.

— Sam chciałeś tego — sucho odpowiedziała Marya.

Prosper Anatol długo milczał, a potem, nie śmiejąc jednak wprost patrzeć jej w oczy, wyszeptał kilka słów niewyraźnych, które ona jednak dobrze zrozumiała. Wstała nagle blada i drżąca: Prosper prawie się jej nastraszył; jąkał się, chciał się tłómaczyć, i wyszedł z pokoju zmieniony, zataczając się jak pijany.

Marya przezwyciężywszy wstręt i pogardę, uczuła się zmrożoną. Zdawało się jej, że Bóg rozdarłszy tak okrutnie jej serce, chciał jeszcze szydzić z jej nieskończonego bolu, tą lubieżną prośbą, którą jej w twarz rzucono. Skuliła się ubrana na łóżku i tak pozostała aż do rana. Kiedy wstała, gwałtowny kaszel rozdarł boleśnie jej piersi i wysuszone gardło, a po ustach jej spłynęło coś gęstego, ciepłego, o słodkawym smaku; otarła usta i spojrzała na chustkę... była krwią splamiona.

Więc Marya znowu płakała i modliła się i nabrała znowu nadziei. Bóg ją pocieszył najcenniejszą swą obietnicą, a śmierć uśmiechała się do biednej kobiety, jako nadzieja ostatnia, jako przebaczenie i spokój.

XXII.

Lalla jednak nie traciła czasu i w pierwszych miodowych miesiącach: nie, nie; nawet kiedy Jerzy przy niej upojony i ogłupiały, ze źrenicą znużoną otaczał ją najczulszą pieszczotą, ona szeroko otwierała swoje wielkie oczy, studyując, w jaki najlepszy sposób może go opanować i prowadzić. I mogła już być zadowoloną, bo w zupełności jej się to udało. Ten człowiek tak silny na pozór, nie uniknął mocy jej białych i małych rączek. Uśmiechem lub łzą, prośbą lub też odrobiną złego humoru, umiejętnością ustąpienia w sam czas, a w czas umiejąc odmówić, Lalla uwiązała go do swej własnej woli, niewidoczną lecz silną nicią.

Raz jeden, ale pierwszy i ostatni, spróbował zbuntować się przeciwko ubóstwianej niewoli, stanowczo odmawiając jej pójścia z nią razem na mszę. Lalla prosiła, błagała, płakała, wszystko nadaremnie. Poszła sama, ale ze ściągniętą brwią, a wróciwszy do domu, zamknęła się na klucz w swoim pokoju. Jerzy miał niemałą przykrość, gdyż te drzwi pozostały przed nim z całym uporem zamknięte. Nadszedł wieczór, nadeszła noc, a żona jego, chociaż bała się spać sama, pozostała nieubłaganą i dopiero nazajutrz, kiedy mąż jej skruszony powrócił z kościoła, otworzyła mu drzwi swego pokoju i swoje ramiona.

Odtąd Jerzy zaczął się z nią układać: a rzecz to wiadoma, że z układami to tak jak z wiśniami: jedna drugą za sobą pociąga.

Dlaczegożby miał mącić wiarę swojej żony?... A jeżeli on sam nie wierzył, dlaczegóż nie miał żonie na mszę towarzyszyć, tak samo, jak w jakie inne miejsce? I dlaczegożby nie nie miał pościć w piątek i sobotę? czyż zawsze nie jadał chętnie ryby? Przecież nie byłby się nigdy ożenił z kobietą „wolnomyślną“, albo z kobietą „doktorem“ republikańskich przekonań; więc powinien pozostawić żonie swobodę myślenia i postępowania; a tymczasem nie spostrzegł się, że sam zaczynał myśleć i postępować tak, jak tego Lalla chciała.

Zresztą pobożność Lalli była jakaś dziwna; wierzyła ona z całem zaślepieniem w Boga, który przebacza zawsze, którego przebłagać łatwo, i wierzyła w to silnie, że jeśli potrafi pozyskać wierze bezbożnego męża, pozyska zupełne „odpuszczenie“ nietylko grzechów przeszłych, ale też... i przyszłych. Jerzy wcale tego wszystkiego nie rozumiał; a chociażby był poleciał znowu do Mentany, gdyby powtórnie z bronią w ręku przyszło „kwestyę religijną“ zdobywać, jednak uchylał czoła i uginał kolana przed wytwornym klerykalizmem jasnowłosej księżniczki, która go rozkochała. I hrabia della Valle, który dla zwycięstwa swych „przekonań“ byłby życie oddał, pod wpływem potężnym pieszczot Lalli, poświęcał powoli jednę po drugiej te swoje zasady i przekonania.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Przybywają do Maribo robotnicy polscy w niedziele i święta z okolic bliższych, pociągami kolejowymi, wozami, pieszo, a nawet na bicyklu, który w Danii jest lokomocyą przez wszystkich bez różnicy stanu, wieku i płci, powszechnie używaną.

Dzień dzisiejszy jest wielką uroczystością polską w Maribo; na szczytu kościoła katolickiego powiewa, obok chorągwi papieskiej, olbrzymia chorągiew czerwona z białym orłem polskim!

Zjechał bowiem do Maribo na odwiedziny misyi polskiej Najprzew. X. Arcybiskup lwowski dr. Józef Bilczewski, w towarzystwie czterech młodych xięży lwowskich.

Lud polski, dowiedziawszy się o tej wizycie arcypasterskiej od wczesnego ranka zaczął się do Maribo ściągać, bo już na szóstą rano zapowiedziana była pierwsza Msza święta.

Z największem zajęciem przypatrywałem się, jak nasz ludek ze wszystkich stron do kościoła swego dążył. Mężczyźni niestety już nie w stroju narodowym, tylko w kosmopolitycznej kusej kurtce robotniczej; ale po twarzy, po wąsach zawiesistych poznać z daleka, że to nasz chłop polski. Długie wozy robocze, na dziś przerobione na improwizowane breki, a zaprzężone w parę roślych i silnych koni, przywożą każdy po dwadzieścia osób. Wysiadająca przed kościołem wiara wita się wzajemnie pozdrowieniem; „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“.

O godzinie 10 odprawił x. dr. Adam Gerstmann uroczystą Mszę śpiewaną, a z ust tysiąca polskich robotników i robotnic zabrzmiała pieśń nasza: „Święty Boże — Święty Mocny“!

O godzinie 11 wstąpił na ambonę Najprzewielebniejszy X. Arcybiskup Bilczewski i przemówił do ludu polskiego. Nie podobna mi opisać podniosłego wrażenia, jakie kazanie złotoustego naszego Arcypasterza wywarło na ten tłum przeszło półtysięczny, który się gęsto stłoczył w niewielkiej świątyni polskiej.

Gorące, podniosłe, od serca płynące słowa dostojnego kaznodziei, trafiły wprost do serca ludu polskiego. Kobiety i mężczyźni głośno płakali, nie mogąc zapanować nad rozrzewnieniem, które wszystkich ogarnęło, Szczęśliwy jestem, żem był świadkiem tej podniosłej uroczystości, żem słyszał te piękne, najgorętszym patryotyzmem owiane przemowę do pracującego na obczyźnie ludu polskiego, a dzień dzisiejszy na długo zostanie mi w żywej i najmilszej pamięci.

Ponieważ nie wszyscy mogli znaleźć miejsca we wnętrzu kościoła, więc dostojny Arcypasterz do ludu, zgromadzonego na podwórzu kościelnem ponownie w krótkości przemówił, rozdając wszystkim obrazki pamiątkowe i odbitki swego ostatniego listu pasterskiego „O Kościele“.

Jeden z poważniejszych robotników wygłosił mowę dziękczynną do X. Arcybiskupa, której podaję w dosłownem brzmieniu i z zachowaniem pisowni, w jakiej mi ją nakreślił autor:

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“

Nojprzewielebniejszy i Nojdostojniejszy Arcyposterzu nosz

Wimieniu wszystkich tu zgromadzonych Wychodzcow z Golizie jako tysz zpod panowania Prusakiego i Rosyjskiego Skłodomy Nojdostojniejszemu Arcyposterzowi zgłebi serc naszych wyjęte, podziekowania isz nosz Nojdostojniejszy Arcyposterz raczył nosz swojo obecnościo tu na Obczyznie zoszczycić, Cześć ci i chwała nosz Nojdostojniejszy Arcyposterzu za to że raczył ludem polskim na Obczyźnie zostojaczem. Dziekujemy ci nosz Nojdostojniejszy Arcyposterzu Zotok wielko opieke dla pracujocych na polskich wychodzcow bo przysłołeś nam gorliwych Kopłonow ktury głoszo nam słowo Boże wjezyku ojczystem, i otoczoja nasz prandziwie Chrześcijojska Opieka, Nioso nam pocieche dla duszej Noszej po wszystkich zakotkach Dujskiego kroju zczego my Biedni wychodzcy bardzo sie radujemy i dezmy Niech ci Pan Bóg nosz Nojdostojniejszy Arcyposterzu za wszystkie mozoły dla nas Biednych tułaczow po Obczyźnie podjęte stokrotnie wynagrodzi i tagże Wimieniu wszystkich wychodzcow prosimy o dolszo Opiekę nad nami a zorozem prosimy o Błogosławieństwo Boże. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus Wychodzcy Z golicyje“.

Na zakończenie zaś odśpiewał lud unisono ułożoną przez domorosłego poetę ludowego pieśń dziękczynną, której tekst pisowni również dołączam:

„I. Nasz Arcypasterzu
W imie nasz nawiedzenia
Polski lud roboczy składa ci życzenia

II. Zyjnam w zdrowiu pomyślności jak
Nojdłuższe lata
Niechaj radość anie smótek życie
twe przeplata

O Dobrodziejn Opiekunie z nieba
nam tu dany
wiec że jako Ojca dzieci cie
Kochamy
Niech żyje nam (Powtórzyć trzy razy).

Następnie x. Arcybiskup przyjmował na probostwie różne deputacye robotników, które mu przedkładały swoje życzenia i prośby. X. Arcybiskup przyrzekł deputacyom, że się zajmie serdecznie ich sprawą i będzie ich orędownikiem wobec tutejszych pracodawców. A będzie ku temu dobra sposobność, bo właściciele dóbr tutejszych, dowiedziawszy się o przybyciu x. Arcybiskupa, oświadczyli chęć przedstawienia się *in gremio* dostojnemu wizytatorowi i zamierzają obwieźć Dostojnego Gościa po kilku koloniach polskich na wyspie Lalland, i wtajemniczyć go w stosunki tutejszych robotników polskich.

Można się więc spodziewać, że interwencya osobista x. Arcypasterza wyda błogie owoce i przyczyni się także do polepszenia bytu materyalnego polskich robotników w Danii.

Dziś popołudniu wyjechał x. Arcybiskup do najbliższej od miasta Maribo położonej „kasarni robotniczej“. Był łaskaw wziąć mnie z sobą na te oględziny; przekonałem się więc naocznie, że robotnicy polscy dobrze są umieszczeni. Mieszkają schludnie i wygodnie, a stosunki ich materyalne są zupełnie zadowalające. Prawie wszyscy oszczędzają i wysyłają pieniądze do swojej rodziny do kraju.

Druga stacya misyjna dla katolickiego ludu polskiego znajduje się w Roskilde (czytaj Roskile). Miasto Roskilde niegdyś liczyło sto tysięcy mieszkańców i było stolicą biskupów katolickich, którzy wykonywali także władzę świecką nad całą wyspą Seeland. Dziś miasto to zeszło do rzędu miasteczka prowincyonalnego i liczy tylko około 8000 mieszkańców, gdyż założona w XI wieku przez biskupa Absalona mała osada nadmorska Kopenhaga, wyrugowała z czasem starożytną Roskildę, która zwłaszcza od czasu reformacyi religijnej w wieku szesnastym straciła dawne znaczenie. Słynna katedra biskupia w Roskilde, dziś ma tylko znaczenie „panteonu duńskiego“, gdyż spoczywają w kaplicach tej świątyni trumny wszystkich członków panującej rodziny królewskiej; biskup zaś protestancki, zarządzający episkopalnym kościołem duńskim rezyduje obecnie nie w Roskilde, lecz w Kopenhadze.

W Roskilde przebywa tylko mała garstka katolików, około 50 osób, mimo to misya katolicka w tem mieście ma niemałe znaczenie, bo zajmuje się duszpasterstwem kilku tysięcy polskich robotników, którzy pracują na półwyspie Jütland i na rozległej wyspie Fynen.

X. Arcybiskup Bilczewski odwiedził wczoraj kościół i misyę katolicką w Roskilde, aby osobiście polecić OO. Misyonarzom sprawy duchowe, jakoteż strzeżenie spraw materyalnych robotników polskich.

Podnieść muszę z wielkiem uznaniem gorliwość tych misyonarzy holenderskich, z których jeden, pełniący funkcye proboszcza katolickiego w Roskilde, ks. Knapen, jakkolwiek Holender z urodzenia, wyuczył się języka polskiego i włada nim całkiem biegle. A i drugi misyonarz, rodem Francuz, nabył już tyle znajomości języka polskiego, że może przynajmniej Ewangelię odczytać ludowi w języku polskim.

Bardzo wybitną działalność rozwijają w Danii OO. Jezuici, którzy mają w Kopenhadze od niedawna wielki i wcale piękny kościół i gimnazyum z językiem wykładowym duńskim, do którego około 300 uczniów uczęszcza, bo nauka przez Jezuitów wyłącznie udzielana, jest sumienną i cieszy się powszechnem uznaniem publiczności.

Nadto mają OO. Jezuici w Ordrup pod Kopenhagą (około 10 kilometrów oddalenia) wielkie kolegium, które mieści około 150 uczniów internistów i takąż samą liczbę eksternistów. Nauka w gimnazyum w Ordrup odbywa się w dwu językach wykładowych: po niemiecku dla Niemców, a po duńsku dla Duńczyków. Połowa uczniów tego gimnazyum jest wyznania protestanckiego; widocznie więc rodzice tych uczniów wysoko cenią naukę profesorów jezuickich, skoro dzieci swoje do zakładu katolickiego posyłają, mimo, że w Kopenhadze są rządowe gimnazya protestanckie.

Na zakończenie niniejszej korespondencyi wspomnieć jeszcze chcę, że między robotnikami na wyspie Lalland jest razem 18 osób wyznania grecko-katolickiego. Owóż ich duszpasterze, ruscy xięża galicyjscy, zakazali im najuroczyściej spowiadać się u „polskich xięży“ w Danii, chyba *in articulo mortis!* To też ci Rusini, którzy przybyli dziś razem z Polakami na nabożeństwo do Maribo, udali się do X. arcybiskupa Bilczewskiego z prośbą o wyjaśnienie, czy nie popełnią grzechu, jeśli się u polskich xięży wyspowiadają?

Stosunki między Niemcami a Rosyą.

Ryszard hr. Pfeil, em. pruski generał-major, a równocześnie emer. rosyjski pułkownik preobrażeńskiego pułku gwardyi, zatem człowiek niewątpliwie obeznany ze stosunkami w obu tych państwach, zamieścił pod powyższym nagłówkiem artykuł w wiedeńskiej *Neue Freie Presse*, który dla aktualności jego, a zwłaszcza z powodu, że dotyka także sprawy polskiej, uważamy za właściwe powtórzyć tu w całości. Sądzimy zresztą, że dobrze jest dowiedzieć się, przynajmniej od czasu do czasu, co mówią o nas nasi wrogowie. Nie jest to przyjemnem, ale za to pożyteczniejszem od wiadomości o tem, co mówią przyjaciele. Zrobiwszy to zastrzeżenie, cytujemy artykuł hr. Pfeila:

„Po kilkakrotnych zapowiedziach i tyluż zaprzeczeniach, zjazd cesarza Wilhelma z carem właśnie się odbył, a w chwili, gdy słowa te się pojawią, ze starej twierdzy baltyckiej Swinemünde działa niemieckie i rosyjskie oddadzą sobie nawzajem salwę powitalną.

Jeżeli władzcy dwóch państw potężnych spotykają się w celu obopólnej wymiany myśli, to zdarzenie takie zawsze jest doniosłe, nietylko dla odnośnych narodów, lecz także dla ogółu. Nie należy jednak tej doniosłości przeceniać i oczekiwać natychmiast jakichś uchwytnych wyników.

W tym razie chodzi przedewszystkiem o odświeżenie bliskich stosunków pokrewieństwa przez osobiste spotkanie, które było niemożliwe skutkiem wypadków rosyjskich w ciągu dwu lat ostatnich.

Pokrewieństwo, łączące obie rodziny cesarskie, stanowiło prawie od stu lat punkt oparcia dla stosunków między obu państwami, i to nieraz wśród trudnych warunków. Wywoływało zaś te trudności jakieś niepojęte zniechęcenie szerokich kół wpływowych rosyjskich do Niemiec, które wprawdzie często bywało uśpione, ale potem znowu występowało bardzo ostro. Należy przypomnieć sobie, jak to po zawarciu traktatu berlińskiego opinia publiczna w Rosyi niesłusznie tak była rozgoryczona w obec Niemiec, że gdy Niemcy weszły w sojusz z Austro-Węgrami, wybuch wojny zażegnany został jedynie przez zjazd cesarza Wilhelma I, z carem Aleksandrem II w Aleksandrowie; po zjeździe tym car uścisnął wiernego swego generalnego adjutanta, zwycięzcę z wąwozu pod Szypką, Radeckiego i rzekł do niego: „Chwała Bogu, wojna między nami a Niemcami jest niepodobieństwem“.

Przyznać winniśmy, że także pewna część prasy niemieckiej sieje niezgodę między obu państwami, wtrącając się do wewnętrznych stosunków Rosyi i przedstawiając ją swym czytelnikom jako jakieś państwowe straszydło. Rosyanin bardzo dobrze umie znieść sprawiedliwą ocenę wypadków, jakich widownią jest jego ojczyzna, ale nie znosi trwałego, z pewnym zamiarem dokonywanego przedstawiania rzeczy w jak najgorszem świetle.

Żaden znawca sytuacyi dyplomatycznej nie może zaprzeczyć, że w ostatnich dwu latach nastąpiło w stosunku obu państw do siebie oziębienie, jakiego od dawna nie było, nawet w czasie po zawarciu przymierza rosyjsko-francuskiego. Świeżo Suworin w *Now. Wrem.* opowiedział, jak to ówczesny ambasador w Berlinie hr. Szuwałow po powrocie Suworina z paryskich uroczystości zbratania się Rosyan z Francuzami rzekł do niego, że Niemcy, a na ich czele cesarz, zachowali się z wielkim taktem wobec tych uroczystości i że cesarz powiększył jeszcze swą uprzejmość dla ambasadora i często składa mu wizyty, aby z nim pogawędzić.

Jeżeli owo przymierze samowładnego cara z republiką francuską, skierowane podówczas wyłącznie przeciw Niemcom, nie obraziło uczuć niemieckich, to widocznie muszą istnieć inne, bardziej jeszcze dotkliwe powody obecnego oziębienia.

Otóż zdaje się, że w pierwszym rzędzie szukać ich należy w stanowisku rządu i prasy w Rosyi od chwili zawarcia pokoju w Portsmouth. W czasie wojny oddawano tam pełne uznanie życzliwej neutralności Niemiec i osobistemu współczuciu cesarza Wilhelma, jakie okazywał on z powodu niepowodzeń broni rosyjskiej, przyczem serce jego kuzynowskie może i posunęło się dalej, niż się to da pogodzić z chłodną rozwagą dyplomaty. Jakkolwiek Niemcy nigdy nie przekroczyły granic neutralności wobec Japonii, z którą utrzymywano w Berlinie stosunki przyjacielskie, to jednak rzecz jest wielkiej wagi, że Rosya mogła swoją granicę zachodnią tak bardzo ogołocić z wojska, jak to się stało pod koniec wojny, a co zamierzano wykonać w jeszcze znacznie wyższym stopniu w razie dalszego jej trwania. Rosya była po prostu tak pewna Niemiec i Austro-Węgier, że bez troski mogła była zabrać ostatniego żołnierza z obszaru zachodniego. Jest wielce wątpliwem, czy w odwrotnym wypadku okazywanoby Niemcom, pokonanym i osłabionym, taką bezwarunkową przyjaźń sąsiedzką.

Przy wielu innych sposobnościach rząd rosyjski postępował względem niemieckiego co najmniej nie po przyjacielsku. Bliższe określenie tych spraw wywołałoby spór prasy obu krajów, który teraz zwłaszcza, gdy obaj monarchowie podają sobie dłoń spokrewnioną, byłby bardzo nie na czasie.

W swych ziemiach polskich oba państwa są złączone ze sobą wspólnymi stosunkami historycznymi i w rzeczywistości na ogół jednolicie tam postępowały. Dość wspomnieć o r. 1863, kiedyto Prusy, utrzymujące podówczas jak najlepsze stosunki ze swymi krajami polskimi, stanęły natychmiast po stronie rosyjskiej przez zawarcie znanego wojennego układu. Także car Aleksander III, który nigdy żadnego państwa nie pozostawiał w wątpliwości co do tego, jaki zachodził między nimi stosunek, postępował w Polsce zawsze w zgodności z Prusami, zalecającej się zresztą samej przez się na mocy istniejących warunków. Dziwnem zatem musiało się wydawać, że od r. 1905, zatem w czasie, w którym rząd pruski miał trudności ze swymi poddanymi polskimi, rząd rosyjski swoim okazywał taką przychylność, i pozwalał im na takie swobody i prawa, że wpływ tego na obszary polsko-pruskie musiał być wysoce szkodliwy. Rząd rosyjski nie był do takiego postępowania przymuszony stosunkami wewnętrznymi; okres bowiem najnowszy dowodzi, że zdecydował się on, co prawda trochę zapóźno, znowu na bardziej stanowczą postawę względem Polaków, gdy ci ostatni zażądali w Dumie jako „minimum“ daleko idącej autonomii. Bądź co bądź takie postępowanie w Rosyi w analogicznej sprawie musiało w Niemczech wywołać niemiłe zdziwienie.

Prasa rosyjska, na którą rząd dziś jeszcze ma wpływ największy, okazywała po traktacie pokojowym ową krótką pamięć, jaką odznacza się niewdzięczność, a zwłaszcza dzienniki wpływowe, pozostające jeżeli nie w zależności, to jednak w stosunkach z rządem, zajęły postawę wprost wrogą. Z nieukrywanem zadowoleniem podnoszono rzekome odosobnienie Niemiec, jako rzecz zupełnie zasłużoną, i robiono trudności planom niemieckim gdzie się tylko dało; dość wspomnieć o podburzaniu opinii publicznej w sprawie stosunku Niemiec do kolei anatolskiej. Trójprzymierze przedstawiano jako mebel, który stał się nieużyteczny, a istnieje tylko na korzyść Niemiec, nakładających największe ciężary na dwa inne mocarstwa wyłącznie dla własnych swych celów. Rząd rosyjski ani palcem nie ruszył, aby położyć kres tej kampanii, ani też w swych urzędowych organach nie dawał do poznania, że nie ma w niej udziału lub ją potępia, tak, że w Niemczech musiano w końcu powziąć mniemanie, że rząd nie stoi zdala od całej tej sprawy. Nawet gdy po stronie Niemiec próbowano poruszyć sprężynę stosunków pokrewieństwa, i to jakoś nie działało.

Wprawdzie w kołach niemieckich, sprzyjających Rosyi, zwłaszcza też z miejsca urzędowego, chętnie przyznano, że wewnętrzne trudności, z jakiemi walczy rząd rosyjski, zamącają obraz jego polityki zagranicznej; jednakże wszystkie te okoliczności nie mogły pozostać bez wpływu i wywołały też owo ubolewania godne oziębienie.

Otóż zachodzi pytanie, czy zjazd obecny monarchów, a może także rozmowa obu mężów stanu natchnie większą serdecznością stosunki obu państw taką, jaka istniała dawniej. Trzeba przypuszczać, że dobra wola jest po obu stronach, bo inaczej całe to spotkanie, które przyszło do skutku nie bez pewnych trudności natury zewnętrznej, a którego wyraźnie pragniono po stronie rosyjskiej, nie miałoby celu.

Kto sądzi, że rząd niemiecki chce zawiązać tylko jakikolwiek „stosunek“, jak to obecnie jest modnem w polityce zagranicznej, tak, że w końcu nie można się wyznać, kto z kim się brata, ten stanowczo jest w błędzie. Mimo wszelkich zaprzeczeń, Niemcy, zwłaszcza w ostatnim czasie, mogą spoglądać z takiem zadowoleniem na swe sprawy zagraniczne, oczywiście w pierwszym rzędzie co do państw trójprzymierza, ale także co do państw innych, że nie potrzebują tego rodzaju „stosunków“, które ograniczają tylko swobodę działania. Nie pragną one niczego, jak tylko takiego pożycia z Rosyą, jakie przystało dwom sąsiadującym ze sobą, spoglądającym na długoletnią wspólną działalność historyczną, państwom, t. zn. stosunków przyjaznych, bez starć i bez obopólnych specyalnych wymagań.

Cesarz Wilhem i powołani jego doradzcy nie uważają bynajmniej Rosyi po nieszczęśliwej wojnie, po której nastąpiły ciężkie przejścia wewnętrzne, za *quantité négligeable*. Stoją oni przytem zupełnie na tem stanowisku, jakie zajmował cesarz Wilhelm I w czasie rozkwitu nihilizmu, tak groźnego dla Rosyi. Wówczas, jak corocznie, cesarz ten posłał swemu ambasadorowi podarek na gwiazdkę, mianowicie drogocenną lampę, a przytem zatelegrafował mu życzenie, aby świeciła mu podczas długich rosyjskich nocy zimowych. Do tego dodał sędziwy monarcha słowa: „Oby znaleziono też pochodnie, któreby tak rozświeciły Rosyę, żeby można odnaleźć i pociągnąć do sprawiedliwej odpowiedzialności wszystkich owych złoczyńców“.

To życzenie podziela obecny rząd niemiecki. Spodziewa się on, że Rosya silną ręką swego kierującego polityka zgniecie zamieszki wewnętrzne. Uważa on carat za pacyenta, dotkniętego ostrą chorobą, który jednak na pewne wyzdrowieje, poczem będzie silniejszy i zdrowszy, niż był przedtem.

W każdym razie jedno wykluczone jest ze zjazdu, mianowicie to, aby cesarz Wilhelm w jakikolwiek sposób wystąpił jako doradzca w wewnętrznych sprawach rosyjskich, chociaż kłamliwe pogłoski częstokroć przedstawiają go jako podjudziciela. Trudno przypuścić, aby car w tej sprawie czysto rosyjskiej, prosił o jego radę, a cesarz Wilhelm w każdym razie, czy będzie o nią pytany czy nie, od udzielenia takiej rady się powstrzyma.

Jakichś widocznych politycznych następstw od zjazdu nie należy się spodziewać, chyba może pewnych ulg w komunikacyi nadgranicznej, tudzież wspólnego postępowania w niektórych kwestyach na konferencyi pokojowej haskiej. Ale zawsze to dobrze, gdy dwaj zaprzyjaźnieni i spokrewnieni władzcy po dłuższem niewidzeniu się, znowu mogą się rozmówić ze sobą.

Cesarz Wilhelm zachowuje dla swego kuzyna carskiego niemą przyjaźń, od czasu, gdy ćwierć wieku temu był w Petersburgu jako zastępca swego dziadka przy upełnoletnieniu ówczesnego następcy tronu, a obecnego cara. Wówczas był on świadkiem, jak ten ostatni złożył ojcu swemu Aleksandrowi III u stóp tronu przysięgę wierności w obec cara i ojczyzny. Był on niejako ojcem chrzestnym przy tym uroczystym akcie, który połączył go silnym węzłem z carem Mikołajem II.

Balonem przez Alpy.

Dwaj aeronauci, Spelterini i Roth odbyli tymi dniami podróż balonem przez Alpy. Była to już piąta podróż Spelteriniego, a pierwsza Rotha.

Andermatt wybrali jako miejsce wzlotu, a wybór ten był wynikiem doświadczeń co do prądów powietrza w Alpach.

W sprawozdaniu swojem piszą oni:

Balon „Augusta“, pochodzący z fabryki Riedingera w Augsburgu, obejmujący 1700 sześciennych metrów gazu, należało wydać i zbadać, przyrządy trzeba było zastosować do rozporządzalnej przestrzeni, sieci rozciągnąć, wentyl i koronę wypróbować, dużo drobnych zabiegów uskutecznić, a na tem upłynęło nam szybko 8 dni, podczas których czekaliśmy na pomyślną pogodę, przedewszystkiem zaś na odpowiedni wiatr.

Dnia 20 lipca, o godzinie 5 rano, obserwatorowie, przebywający w forcie „Stoeckli“ na wysokości 2500 metrów, donieśli nam, że pogoda jest jak najpiękniejsza, że dokoła wszędzie panuje północno-zachodni wiatr, który nas musi pędzić przez Alpy w stronę Werony.

A więc co prędzej zakładamy węże, umieszczamy płyty w przyrządach fotograficznych, a już o godzinie 8-mej rano balon nasz był gotów do podróży. W otoczeniu oficerów i gromady ciekawych widzów, obcych i miejscowych, zabieraliśmy nasze sakwy do tej podróży niecodziennej.

I tym razem główną rolę odgrywały przyrządy fotograficzne. Kamera Sutera (13×18) i kamera Goerza (18×24) z 30 „chassi“ nie wystarczały Spelteriniemu, który na krawędzi kosza umieścił jeszcze kinematograf o sześciu kasetach po 100 m. filmu. Zresztą zabraliśmy dostateczny zapas żywności, liny, buty sybirskie, latarnie i ognie na wypadek lądowania i nocowania w górach, dalej zwykłe przyrządy regestrujące, jak barometry, termometry i hygrometry.

Waga „żywa“ wynosiła około 150 kilogramów, a mianowicie: kapitan Spelterini, ja i kilka gołębi pocztowych z twierdzy Andermatt.

O godzinie 9 rano pożegnaliśmy się. Padła komenda: „W górę!“.

Zaledwie uwolnił się z więzów, balon nasz zabujał nad zboczami gór Gurschen, obracając się jakby dla oryentowania około swej osi. Niech i tak będzie: mamy chwilę wypoczynku po tylu godzinach pracy i możemy nasycić się pięknym widokiem. Pod nami rozciąga się Andermatt, skąd dolatują nas oderwane wołania, dalej forty: Batzberg i Stöckli na północy, łańcuch gór Damma i Galen na zachodzie, a Furka na południe. Słoneczna jasność dokoła. Śnieżne pola Kastelhornu pozostawiamy na lewo, płyniemy ku południowi, ponad Furka i Monte-Rosa.

Rzut oka na ziemię pokazuje nam, jak cień naszego balonu w odległości kilku kilometrów posuwa się dokładnie wzdłuż drogi, wiodącej przez górę Gotharda. Płyniemy z szybkością 8 do 10 kilometrów na godzinę. I oto szybko, jakby obracane karty księgi ilustrowanej, przesuwają się przed nami widoki jeden za drugim: schronisko na Gothardzie, przełęcz, niby cienki biały pas, skały — życie i martwota w bezpośredniem sąsiedztwie.

W jaśni słonecznej pławi się Val Tremola i Airolo z południowem wejściem do tunelu, z którego bucha dym; dalej widać opancerzone wieże fortu, jak główki szpilek; w dali, ku zachodowi spostrzegamy Behrettotal, zaś ku wschodowi — Val Piora z jeziorem Rittom.

Wznieśliśmy się tymczasem na 3.000, a zaraz potem na 3.500 metrów. Wiatr wieje w innym kierunku i płyniemy na południowy zachód. Zimny wiatr, wywierający na balon ciśnienie, zmusza nas do wyrzucenia małej części balastu.

Przepływamy ponad Pizz Sasselo. Pod nami skaliste olbrzymy, czarne, ponure, jakby znaki śmierci. Straszna pustka. Odetchnęliśmy, znalazłszy się nad doliną Maggia. Przesuwa się: Lago Maggiore, Locarno, Varese, prawie tuż poza nami: Bellinzona, Monte Cenere, jezioro Lugano, daleko na wschodzie jezioro Como.

Podziwiamy krajobraz, ale uczuwamy głód. Posilamy się i znowu podziwiamy widoki. Od innych odbija swą bladością łańcuch Alp, począwszy od Monte Rosa, aż do grupy Bernina.

Pierwszy gołąb pocztowy z twierdzy Andermatt ma zanieść od nas pozdrowienie. Zwijamy nasz liścik i wkładamy do piórka, które przyczepiamy do ogona gołębia. Ptak siedzi przez chwilę na krawędzi kosza, rozgląda się i odlatuje ku północy.

Niestety żaden z gołębi nie doleciał na miejsce, wszystkie padły widocznie ofiarą drapieżnych ptaków.

Z wyjątkiem kilku wahań się płyniemy na przeciętnej wysokości 3.800 metrów. Bierze ochota wznieść się wyżej o 1.000 lub 1.500 metrów, ale pominąwszy własną wygodę, która znika na wysokości 5.000 metrów, chodzi nam właśnie o to, ażeby jak najbliżej gór odbywać podróż.

Zbliża się godzina 2-ga. Powoli przesuwa się pod nami Laggo Maggiore, dalej Monte Cenere ze swoim tunelem, Lugano z idylicznem jeziorem, które lśni w słońcu. Ponad gniazdo skaliste Gandria, ponad groty w Caprino, gdzie podróżni tak chętnie w naturalnych piwnicach skalnych piją słodkie „Asti“ unosi nas balon przez Vall d'Intello ku jezioru Como.

Pozostawiamy po lewej stronie Bellagio, przepływamy ponad górą Monte San Primo, wznoszącą się na 1865 metrów, i oto na południowo-wschodnim krańcu jeziora wyłania się Lecco, dalej na południe senne jeziora Lago Pusiano i Lago di Annone — wreszcie na skraju widnokręgu żyzne doliny Lombardyi. Już ponad Val d'Intello widzieliśmy potężne wały chmur, z których braliśmy zdjęcia fotograficzne, teraz ponad dolinami unoszą się wieńce chmur drobnych, za niemi zaś opada szara opona. Medyolan oddalony zaledwie o 40 kilometrów, jest zakryty, im dalej zaś płyniemy na południe zawsze w wysokości 4000 metrów, tembardziej zbliża się do nas szara opona. Płyniemy pomiędzy rzekami Seveso i Lambro, naradzając się, czy mamy wylądować, gdy nagle balon zaczyna opadać.

Z wysokości 4200 metrów spadamy na 2000, wyrzucamy wór balastu i spadamy na 1500, na 1000, na 600 metrów. Szmer syczący zwraca naszą uwagę. Balon kurczy się, a syk staje się silniejszy. Skąd to pochodzi? Wyrzucamy 2 wory balastu, pozbywamy się liny do wleczenia i nareszcie podnosimy się w górę ku zgryzocie malców, którzy się zaczęli gromadzić. Płyniemy w kierunku północno-wschodnim ku Bergamo. Syk ustał, a ciepła fala powietrza ożywiła balon. Jak się później przy lądowaniu przekonaliśmy, syk pochodził od świerszczów, które miliardami pokrywają dolinę i napełniają powietrze ćwierkaniem.

Wyczerpaliśmy już cały zapas płyt fotograficznych. Spelterini, doświadczony aeronauta uznał, że wyschłe łożysko piaszczyste rzeki Serio, na wschód od Bergamo, nadaje się do lądowania. Pociągnięcie liną wentylu i opadamy na 100 metrów wysokości.

Z pól ryżowych zbiegają się ludzie wszczęlonych wyścigach, usiłując pochwycić linę do wleczenia. Chwyta ją 10, potem 20, 40, mimo naszych nawoływań: „Lasciate! lasciate!“ Linę okręcili około drzewa. Spelterini otwiera wentyl i wkrótce balon opada na ziemię, kładąc się na bok. Ludzie pomagają nam chętnie. Wkrótce wóz ciągniony przez woły, zabrał nasz balon i ruszyliśmy do Bergamo, gdzieśmy stanęli o godzinie 7 wieczorem.

Z kroniki anarchii w caracie.

Warszawa. Wczoraj na ulicy Nowolipie, o godzinie 12 w południe, trzech bandytów napadło na przechodzącego handlarza Kuperberga i przyłożywszy mu rewolwery do skroni, zabrało mu 111 rubli. — Na ulicy Brukowej trzech innych uzbrojonych opryszków obdarło z kosztowności przechodzącą tamtędy żonę pewnego zegarmistrza. — Za rogatką Jerozolimską czterech bandytów, uzbrojonych w rewolwery i sztylety, napadło na przejeżdżającego mieszkańca gminy Drwalew i zabrało mu dwie skrzynki z 200 butelkami spirytusu.

W okolicy Grabowca i Łazisk grasuje od dłuższego czasu zorganizowana banda. Bandyci owi, mający kryjówki w lesie, napadają obdzierają i mordują przechodzących lub przejezdnych. Wczoraj obrabowali kilka osób. Oprócz tego w lesie, będącym ich siedzibą, znaleziono trupa, na którym są ślady gwałtownej śmierci.

We wsi Górce pod Warszawą, do domu kolonisty, Antoniego Szczecińskiego, około godziny 2 w nocy, podczas nieobecności gospodarza zaczęło się dobierać sześciu bandytów, uzbrojonych w browningi. W mieszkaniu znajdował się siostrzeniec Szczecińskiego, Bucholz, i dwie młode dziewczyny. Bandyci strzelili z rewolwerów, próbując strzałami wyłamać drzwi, co im się jednak nie udało. Tymczasem Bucholz nabił dubeltówkę lotkami i strzelił do bandytów przez okno. Widocznie jednego z nich zranił, gdyż wskazywały na to ślady krwi. Bandyci uciekli, uprowadzając ze sobą zranionego towarzysza.

Warszawa. Wykryto wreszcie morderców inżyniera Szymańskiego; są to dwaj młodzi robotnicy Henryk i Wacław Kędzierscy. Z dochodzenia policyi wypływa, że oni dwaj wraz z niejakim Władysławem Brzezińskim, roznosicielem dzienników, zamordowali tego porządnego ze wszech miar cenionego człowieka.

Warszawa. Do jakiego zdziczenia doszła już tutejsza publiczność, świadczy fakt następujący: W restauracyi „Sielanka“ było kilku gości. Przy jednym ze stolików siedzieli właściciel restauracyi Gabler i weterynarz J. Królikowski. Obaj prowadzili ożywioną rozmowę. Po ukończeniu jej Gabler wstał i udał się do pokoju, położonego za bufetem. Wówczas dr. Królikowski dał do niego kilka strzałów rewolwerowych. Gabler padł na ziemię zbroczony krwią. Zawezwano pogotowie. Stwierdzono, że stan Gablera jest ciężki. Dra Królikowskiego aresztowano.

Kijów. W miasteczku Antonówce, powiatu humańskiego, krewny obywatela ziemskiego Dziewanowskiego, realista, przez nieostrożność zabił wystrzałem ze strzelby włościankę. Włościanie sąsiednich wsi, którzy byli na jarmarku, wpadli do domu, podpalili budynki gospodarcze, zrabowali dom mieszkalny i spalili go doszczętnie. Dziewanowski z rodziną i krewnym zdołał uciec.

Łódź. W poniedziałek o godzinie 5 popołudniu na rogu ulic Widzewskiej i Nawrot kilku strzałami z rewolwerów zabito 36-letniego Benedykta Ładka.

O godzinie 10 wieczorem na Bałutach zabito dwóch młodych czeladników rzeźnickich: 16-letniego Ignacego Keniga i 15 letniego Edmunda Kachelskiego. Na zwłokach obu znaleziono kartkę z napisem: „Za szpiegostwo“.

KRONIKA.

Lwów 8 sierpnia.

Artykuł pośmiertny Tiedemanna. W piśmie francuskiem *Le Continent*, wydawanem przez p. Pouvourville z Paryża i p. Richtera z Berlina ukazał się (w nr. 9), artykuł przewodniczącego „Ostmarkvereinu“ p. Tiedemanna-Seeheima pod tytułem „L'empire d'Allemagne et ses Polonais“, skierowany przeciw Polakom. Treścią artykułu jest, że opinia francuska wzięła stronę Polaków, nie badając istotnej sytuacyi. Polacy starali się, aby w prasie francuskiej wypadki były przedstawione w świetle dla nich przychylnem. Wobec tego autor

chce przedstawić istotny stan kwestyi polskiej w Niemczech. Następuje wywód historyczny, którego treścią, że w najdawniejszych czasach Niemcy sięgali aż po Wisłę, później rozszerzeni w Poznańskiem byli uciskani przez Polaków, aż do chwili, gdy rząd pruski odzyskał te kraje. Zajęcie jednej części Polski przez rząd pruski było datą uwolnienia z niesłychanego ucisku nietylko ludności niemieckiej, ale i chłopów polskich, uciemiężonych przez szlachtę. Zaczął się okres energicznej pracy cywilizacyjnej. Prusy przemieniły ten kraj w prowincyę kwitnącą, zamieszkałą przez ludność, która się cieszy wszystkiemi prawami konstytucyjnego państwa. Marchia wschodnia jest więc ziemią niemiecką odzyskaną nie przez siłę oręża, ale przez pracę cywilizacyjną. Następnie wykazuje autor znaczenie kwestyi polskiej dla Niemiec. Gdyby Niemcy straciły prowincye polskie, ich stanowisko w świecie byłoby bardzo zagrożone. Granica nowego państwa polskiego, z natury rzeczy wrogiego Niemcom, znalazłaby się o 120 klm. od Berlina. Miliony obywateli niemieckich musiałoby przyjąć narodowość polską. Niemcy się bronią, Bismarck założył komisyę kolonizacyjną, która zakupuje własności polskie i osadza tam chłopów niemieckich. Rozpoczęła się zatem walka o posiadanie ziemi. Jeżeli lud niemiecki i rząd cesarski staną na wysokości zadania, walka ta może się skończyć tylko zwycięstwem niemieckiem. Drugą jest kwestya języka. Język niemiecki był zawsze uczony w szkołach, a było to rzeczą pedagogiczną i absolutnie prawną, że i wykształcenia religijnego zaczęto udzielać w języku niemieckim. Z tego powodu wybuchł strajk szkolny, w którym nie idzie o interesy religijne, lecz o agitacyę ludową. Artykuł kończy się obroną Ostmarkvereinu.

O śmierci Tiedemanna doniosły były niedawno dzienniki pruskie. Przypuszczać więc należy, że artykuł ten napisał był na krótko przed śmiercią, a tylko z jakichś redakcyjnych powodów druk tej jego elokubracyi odroczono aż do tej pory. Składa się ona jak widzimy z dwóch części, z historycznej i politycznej. Za polityczną, za jej szczerość i otwartość, można mieć tylko uznanie dla autora. Okazuje się, że nie prześladowaliby nas Niemcy, gdyby nie to, że mieszkamy za blisko Berlina. A dlaczegoż prześladują Francuzów w Alzacyi i Lotaryngii? Czy dlatego, że mieszkają o 800 kilometrów od Berlina. Rzeczą jest naturalną, że nieprzyjemnie jest mieć wrogów tak tuż pod stolicą jak i daleko od niej. Ale czyż nie lepiej i mądrzej przekształcić wrogów w przyjaciół? Austrya nie dlatego nie prześladuje nas we Lwowie, że oddaleni jesteśmy o 700 klm. od Wiednia, ale dlatego, że panuje w niej mądry i szlachetny monarcha. A rezultat tego jest ten, że Lwów i jego, jakoteż całej Galicyi mieszkańcy stanowią i stanowić zawsze będą dla Austryi, dla jej tronu i dynastyi, nieprzeparty wał ochronny od wszystkich wrogów. Szkoda, że tego zrozumieć i ocenić nie chce czy nie może monarcha pruski.

Tyle co do politycznej części artykułu p. Tiedemanna. Co się zaś tyczy historycznej, to za zawarte w niej fałsze odpowiedział już on zapewne przed sądem Boga. Nie zaszkodziłoby wszakże, żeby który z naszych historyków zamieścił w *Le Continent* lub w którem bardziej od tego pisma poczytnym dzienniku francuskim odparcie tych zarzutów, zdanie po zdaniu. Dla narodu nie umiejącego ani geografii ani historyi przydałaby się bardzo taka lekcya.

Ślub. W Krakowie odbył się dnia 31 z. m. ślub panny Miry Flory Ogórkównej, doktorki medycyny, z drem Kazimierzem Pankiem.

W celu ratowania uniwersytetu warszawskiego odbyło się wczoraj w Warszawie posiedzenie profesorów tego uniwersytetu i uchwaliło wydać odezwę do społeczeństwa polskiego, wzywającą je, aby przestało go bojkotować. Ponieważ młodzież polska nie chce uczęszczać na ten uniwersytet i na półrocze letnie zapisało się tylko 9 studentów, przeto rząd postanowił przenieść tę szkołę do któregoś z miast rosyjskich. Gdyby jednak bojkot ustał, toby rząd zostawił uniwersytet w Warszawie. Może odezwa profesorów odniesie pożądany skutek. Jeden z profesorów uniwersytetu warszawskiego, Rosyanin, mówił w tej sprawie do jednego z dziennikarzy warszawskich co następuje:

„W bojkotowaniu szkół rosyjskich w Polsce, przedewszystkiem uderza fakt następujący: niższa i średnia szkoła rosyjska, która ma znaczenie wychowawcze i agitacyjne, funkcyonuje w dalszym ciągu i Polacy jej nie bojkotują, tylko szkoła wyższa, dla której, jakby się zdawało, język wykładowy nie ma takiego znaczenia, jak w szkołach niższych i średnich, jest bojkotowaną. Uniwersytet, politechnika i instytut weterynaryjny nie funkcyonują, chociaż na bojkotowaniu wyższej szkoły rosyjskiej traci przedewszystkiem społeczeństwo polskie, którego całe pokolenie pozbawione jest wyższego wykształcenia, i które zmuszone jest posyłać swe dzieci zagranicę do uniwersytetów niemieckich lub francuskich, co możliwem jest oczywiście tylko dla niewielu ludzi zamożnych.

„Sprawa wyższych zakładów naukowych w Polsce — mówił dalej profesor, — teraz przedstawia się daleko poważniej, niż kiedykolwiek przedtem, ponieważ całkowity skład profesorów uniwersytetu warszawskiego ma być przeniesiony do uniwersytetu saratowskiego, a personal profesorów politechniki warszawskiej do politechniki w Nowoczerkasku. Przez to samo uniwersytet warszawski i politechnika będą uznane urzędownie za zamknięte. Wznowienie w nich zajęć potem, nawet przy najgorętszych chęciach społeczeństwa polskiego, będzie rzeczą nie łatwą i może upłynąć 10 — 15 lat, w ciągu których całe Królestwo Polskie będzie pozbawione wyższych zakładów naukowych".

Piękna perspektywa czeka nas tedy, jeżeli wszechpolska polityka będzie dalej kierowała ogółem w Królestwie.

Szalone upały panują od paru dni w Wiedniu. Przedwczoraj termometr wskazywał tam po południu 36° C. Również w Krakowie skarżą się na upały. Wczoraj i przedwczoraj zapadło tam kilka osób na udar słoneczny.

Rzeź galicyjska 1846 r. Dotąd sądziliśmy, że w całej Polsce jest jedna tylko opinia o tej nikczemnej zbrodni zezwierzęconych ludzi. Tymczasem organ p. Stapińskiego w jednym z ostatnich numerów usprawiedliwia rzeź galicyjską. Niejaki Młynek, historyk z *Przyjaciela Ludu*, nie dziwi się i nie bierze ludowi za złe, „że na upadek Polski i wszelkie wysiłki szlachty i duchowieństwa celem odzyskania dawnych rządów patrzył obojętnie, a miejscami nawet tym wysiłkom przeszkadzał, — tak jak to widzieliśmy w r. 1846". „Nie rzucajmy zatem — pisze dalej — kamieniem na Szelę i jego politycznych przyjaciół za to, że w 1846 r. stanęli po stronie rządu austryackiego, a przeciw szlachcie i duchowieństwu polskiemu, — bo wypadki z roku 1846 były zakończeniem tego krwawego dramatu, który się ciągnął i rozgrywał na ziemiach polskich przez 12 wieków: od zamordowania Popiela II w Kruszwicy i zburzenia państwa chłopskiego czyli Lechii — aż do rzezi galicyjskiej i zniesienia niewoli chłopskiej!"

Ustęp powyższy wystarczy, żeby sobie wyrobić pojęcie o duchu, jaki panuje w stronnictwie ludowem i o krzywdzie, jaką wyrządzają kierownicy tego stronnictwa ludowi naszemu, mieniąc się wyrazicielami jego myśli i dążeń.

Ostrzeżenie. Uważamy za obowiązek ostrzedz naszą publiczność, jeżdżącą do Karlsbadu i innych miejsc kąpielowych na zachodzie, przed obstalowywaniem jakichkolwiek sukień u tamecznych modniarek i krawców. Obiło się o naszą redakcyę już kilka skarg z tego powodu, a oto najświeższa, pełna oburzających szczegółów. Obywatelka ziemska, pani S., osoba lubiąca ładnie się ubierać i stała klientka wielkich firm krawieckich, obstalowała sobie kilka sukien w Karlsbadzie. Jedne były dobre, drugie złe — tak, iż podczas płacenia rachunku wyniknął spór o 156 guldenów. Pani S. zacięła się i dopuściła do procesu. Wyjeżdżając, powierzyła obronę swoich interesów jednemu z karlsbadzkich adwokatów, niejakiemu drowi R., który otrzymał na poczet honoraryum 40 guldenów. Wkrótce adwokat zawiadomił swą klientkę, że sąd nakazał jej wykonać przysięgę na dowód prawdy tego, co twierdzi. Ponieważ jednak pani S. w oznaczonym terminie nie mogła pędzić z Ukrainy, aby stawić się do sądu w Karslbadzie dla złożenia przysięgi, więc adwokat R. nie mógł w dalszym ciągu popierać sprawy i zrzekł się udzielonej plenipotencyi. Zawiadamiając o tej swojej decyzyi, jednocześnie polikwidował swoją należność, wynoszącą prócz poprzednio otrzymanych 40-tu guldenów, jeszcze okrągłą sumę .. 238 guldenów.

Żądanie takiego honoraryum za sprawę o 156 guldenów wydało się pani S. do tego stopnia wygórowanem, że zupełnie zbyła je milczeniem. Wtem w parę tygodni potem otrzymuje pani S. od adwokata dra N. pismo, w którem on jej donosi, że jako kurator wyznaczony przez sąd do bronienia interesów nieobecnej pani S. w sprawie o honoraryum adwokata, dra R., przedsięwziął wszystko, co było w jego mocy i prosi o przysłanie honoraryum w sumie 15-tu guldenów. Widząc, że zapada się w coraz głębsze bagno, pani S. zapłaciła co prędzej i modniarce i obu adwokatom, przysięgając sobie nie robić żadnych obstalunków w miejscach kąpielowych i na milę uciekać od kąpielowych adwokatów.

Leczenie raczkowaniem. Po całych wiekach niedorzecznego leczenia dzieci chorych na *scoliosis* (skrzywienie stosu kręgowego) zapomocą gorsetów, wpadli lekarze na rozsądny pomysł, że skolioza powstaje wskutek tego, iż dziecko słabe, rachityczne, nie może się utrzymać w pozycyi stojącej. Poczęli więc zalecać takim dzieciom, aby dalej raczkowały, a rodzicom, aby nie zmuszali ich do chodzenia na dwóch nóżkach. I rezultat tej metody okazał się świetnym. Przy raczkowaniu nie męczony stos kręgowy nabierał siły, prostował się i dziecko pozbywało się choroby. Oczywiście mowa tu o dzieciach, mających trzy, cztery lata.

Lew Tołstoj o konstytucyi. Lew Tołstoj w rozmowie z współpracownikiem *Słowa* petersburskiego zaprzeczył krążącym powszechnie pogłoskom, jakoby miał być przeciwnikiem konstytucyi.

„Zdaje mi się powiedział Tołstoj, że wypowiadam moje poglądy jasno i otwarcie i o ile umiem, niedwuznacznie, a tymczasem tylko dlatego, że ośmielam się wątpić o niektórych rzeczach i myśleć nie tak, jak tego wymaga zastygła już w określonych formach wiara polityczna, roznieśli ludzie legendę, że jestem nietylko przeciwnikiem konstytucyi, ale nawet przeciwnikiem ruchu wolnościowego wogóle. Co za nonsens! Ja mam być przeciwnikiem ruchu, i to jeszcze wolnościowego!

Urzędnikowi, który doczekał się łysiny na pisaniu projektów, przyszło do głowy sklecić i skomponować z różnych wycinków, coś dziwnie niekształtnego, i nazwać to coś „Dumą" starem słowem rosyjskiem, a ludzie zaczęli się głęboko zastanawiać i gotowi byli nawet zacząć liczyć się z tą Dumą Bułyginowską. Panowie urzędnicy rozszerzyli tedy nieco klatki i zwołali pierwszą dumę.

I wtedy cała śmieszność wyszła na jaw.

Śmiesznem było, że urzędnicy chcieli wpędzić do domku z kart całe ogromne dążenie narodu do odnowienia życia; równie śmiesznem było widzieć, jak ludzie z poważnemi minami siedzieli w tym domku i nad czemś poważnie radzili, nie widząc i nie chcąc widzieć, że na ten domek dość tylko dmuchnąć i wszystko poleci.

I istotnie, dmuchnęli — i wszystko poleciało.

A mnie chcą zapewnić, że to jest prawdziwa konstytucya, że to i na Zachodzie tak jest, że i tam zwołują i rozwiązują parlament.

I w tem tkwi tragizm naszego położenia, że nie widzimy całej jego śmieszności. Na Zachodzie? Dziękuję serdecznie. Niech sobie tak będzie na Zachodzie. Lecz u nas trzeba koniecznie, aby tego nie było. Jeżeli zwołują już przedstawicielstwo narodowe, to, po pierwsze, potrzeba: aby to przedstawicielstwo było istotnie narodowe, a nie jakieś teatralne z urzędnikami i po drugie, gdy już je raz zwołano, to bądźcie łaskawi posłuchać głosu przedstawicieli narodu, a nie trzymajcie papierku za plecami i jak nie idzie po waszej myśli nie mówcie: „Do widzenia, możecie sobie pójść".

Tak być nie powinno.

Sprawa przybrała obrót jakiejś dziwnej gry „w duraczki". Usiedli do gry, rozdali karty, zaczęto grę, nagle urzędnicy mówią:

— Trzeba na nowo!

I stasowali karty.

Chociaż w kartach nie ma takiego zwyczaju, lecz w polityce, jak mówią, wolno to robić i w Europie Zachodniej tak się robi.

Doskonale. Znowu usiedli, znowu rozdali karty, zaczęli wychodzić, — urzędnicy znowu stają dęba.

— Na nowo! zawołali i znowu zmieszali karty.

A teraz im się zdaje, że zabrali sobie wszystkie atuty, ułożyli naprzód karty i znowu siadają do stołu.

Co to wszystko znaczy?

Jestem zbyt stary, napatrzyłem się za dużo na życie i dzieła ludzi, abym mógł margarynę polityczną wziąć za prawdziwe masło".

Książę Borghese przybył w poniedziałek o godzinie 5-ej popołudniu do Berlina. Wiadomość o tem rozeszła się natychmiast po mieście i zapełniła ciekawymi całą długość bulwarów „Pod lipami". Szczególniej licznie zebrała się publiczność przed hotelem „Bristol", gdzie stanął ks. Borghese. Automobiliści mieli pierwotnie wyruszyć natychmiast w dalszą drogę do Paryża, lecz uproszeni pozostali jeden dzień w Berlinie. Z drogi, jaką odbyła „Itala" z Münchenberge do Berlina, podaje sprawozdawca *Tagu* następujące szczegóły:

Wsiadamy do automobilów, książę zajmuje miejsce „chauffeura", a my tuż obok niego, lub za nim.

— Jakaż to rozkosz jechać po równej drodze — rozpoczyna ks. Borghese rozmowę. — Z wyjątkiem pustyni Gobi, której powierzchnia jest równa zupełnie, jak powierzchnia stołu, mieliśmy do przebycia puszcze bezdrożne wprost nie do przebycia, motor nasz jednak ani razu nie zawiódł, dziś jeszcze syczy tak regularnie, jak gdyby wyszedł prosto z fabryki.

Na zapytanie jakie doświadczenia techniczne odniósł książę z podróży, odparł, że przedewszystkiem przyszedł do przekonania, iż usługi, jakie może automobil oddać ludzkości, mogą być olbrzymie, a nabiera się tego przekonania wtedy, gdy przebyło się tak znaczną przestrzeń i to w najróżnorodniejszych klimatach, warunkach geograficznych i fizycznych. Książę odparł następnie zarzut, jakoby podróż swą odbywał celem reklamy dla dziennika *Matin*, lub aby go kierowała chęć uzyskania nagrody. Koszta podróży pokrył sam, a nie przeniosły kwoty 20.000 marek.

Wśród takiej rozmowy w słoneczne, sierpniowe popołudnie dosięgli podróżni Berlina. Na ulicach tłum ludzi czekał już od kilku godzin na księcia, aparaty fotograficzne w rękach, ciekawość na twarzach. Nareszcie o 5-tej rozlega się okrzyk: „jadą", a za minut kilka zjawiają się oczekiwani na bulwarach „Pod lipami", obsypani kurzem, opaleni i brunatni jak indyanie. Tłum krzyczy, klaszcze, pcha się i rozpycha, a podróżni wolnem tempem posuwają się przez ulice i za chwilę znikają w podwojach „Bristolu".

W piątek z redakcyi *Matina* wyruszyły na spotkanie ks. Borghese do Berlina trzy samochody, w których obok redaktorów wzmiankowanego pisma, organizującego wyścig, zasiedli redaktorowie *Echo de Paris*, *l' Auto* i *La vie au grand air.* Karawana kieruje się na Epernay, Reims, Mézières, Kolonię i Hanower i przybyła wczoraj do Berlina. Samochody towarzyszyć będą ks. Borghese w jego drodze do Paryża, gdzie zamierzają przybyć razem w d. 10-ym bm., o godz. 4-ej po południu.

O samochodach Dion-Bouton są dosyć skąpe wiadomości, pochodzące z d. 30-go z. m. Samochody znajdowały się wtedy w miejscowości Ujarmka za Uralem i zdążały w kierunku Kazania. Na przebycie Syberyi podróżni zużyli 50 dni. W Złotouście na pożegnanie Azyi rozsrożyła się potężna burza, która podróżnych zalała potokami deszczu. O trycyklu motorowym „Spyker" nie ma żadnych wiadomości; jest on we wnętrzu Syberyi na najtrudniejszym do przebycia terenie tajgi.

Korespondent *Matina* Jean du Tallis, jadący na jednym z samochodów Dion-Bouton przypisuje głównie fakt tak znacznego wyprzedzenia dwóch samochodów francuskich przez ks. Borghese rozmiarom i sile „Itali" (40 koni). Małe motory Dion-Bouton, rozwijające siłę od 10—12 koni, nie mogły wyrównać wielkiemu motorowi, jednakże okazały, że i małe samochody mogą hazardować się na tak niebywałe podróże, obejmujące więcej niż pół obwodu ziemskiego. W każdym też razie samochód, jako maszyna przyszłości, złożył świetny egzamin w wyścigu Pekin-Paryż.

Wilhelm II we własnym nakładzie. W Berlinie ukazała się książka o Wilhelmie II jako o... artyście. Wiadomo, że w młodości cesarz miał zamiar zostać malarzem. Nauczycielem jego był prof. Salzmann, który od roku 1884 udzielał lekcyi jemu i bratu jego ks. Henrykowi. Później, zwłaszcza od kiedy wstąpił na tron, cesarz Wilhelm II zaniedbał malarstwo, poprzestając na szkicach ołówkiem lub piórem. Częstokroć, zamawiając pomnik, „rzuca myśl jego" w formach — arcyprymitywnych. I kartony alegoryczne, które cesarz sam szkicował, lub dla których dostarczał pomysłów, nie odznaczają się oryginalnością.

Właśnie pojawiło się dzieło, które informuje publiczność dokładnie o stosunku cesarza do sztuki i po raz pierwszy ogłasza pięćdziesiąt własnoręcznych jego szkiców i rysunków. Wydawnictwo to — *Der Kaiser und die Kunst* (Berlin, nakład Alfreda Schalla) — jest oficyalnem. Trudno osądzić — dodaje jedno z pism berlińskich — dlaczego cesarz obecną właśnie chwilę uważał za stosowną, by zaprezentować światu całokształt usiłowań swych, jako mecenas i artysta. Dość, że, najwidoczniej z polecenia jego, Paweł Seidel, dyrektor zbiorów sztuki na zamkach cesarskich, zebrał z archiwów urzędów dworskich i ministeryów wszystkie dokumenta odnośne, dołączył szereg listów, w których artyści wypowiadają zdanie swe o cesarzu i wyposażył dzieło w znaczną liczbę wspaniałych ilustracyj.

Temperatura dnia 6 sierpnia o godz. 7-mej rano wynosiła: w Galicyi zachodniej +20, we Lwowie +16, w Tarnopolu +15, w Czerniowcach +13, w Wiedniu +20, w Salcburgu +19, w Gracu +19, w Pradze +21, w Tryeście +24, w Abbazyi +22, w Raguzie +26, w Budapeszcie +19, w Berlinie +21, w Hamburgu +20, w Monachium +21, w Zurychu +21, w Genewie +21, w Lugano +24, w Anglii +14, w Paryżu +14, w Biarritz +20, w Nizzy +20, w północnych Włoszech 23, we Florencyi +22, w Rzymie +23, w Neapolu +25, w Palermo +27, w Madrycie +23, w Sztokholmie +13, w Petersburgu +14, w Wilnie +10, w Warszawie +17, w Moskwie +11, w Kijowie +11, w Odessie +16, w Serajewie +17, w Belgradzie +22, w Bukareszcie +21, w Sofii +16, w Konstantynopolu +23, w Atenach +27. (Temperatura według Celsiusza).

Zmarli. W Dukli X. kanonik Stanisław Puszet.

Stan powietrza. T. o godz. 7 rano +14 R. w poł. +16 R. w cieniu, +20 R. na słońcu. Bar. 770. Idzie w górę. Pogoda.

Na wilegiaturze.

Ona. I znowu deszcz i miasto korzystać z świeżego powietrza, trzeba powracać do czterech ścian!

On. A drogie mieszkanie letnie miałoby stać bez użytku?

Na giełdzie.

(Rozmowa podsłuchana). — Daję panu na to słowo honoru...

— Słowo honoru?... A zkąd go pan wziął?

Widowiska i koncerty.

Colosseum Hermanów od 1 do 15 sierpnia. *Jej Ekscellencya Małgorzata Fehim-Pasza* na czele swojej trupy *the Morgan Family.* — *Sposób na męża*, groteska w 1 akcie. — *Bros Leigh*, kom. burleska bilardowa. — *Vitograph* i 10 nowości. W niedziele i święta dwa przedstawienia: o godzinie 4-tej i 8-mej.

Odezwa.

Przed dwoma laty nawiedził ubogie miasteczko Wojniłów wielki pożar, którego ofiarą w znacznej części stał się kościół łaciński. Pod wpływem rozszalałego żywiołu runęła wieża, dach z całem wiązaniem, a sklepienie w nawie kościoła i mury do tego stopnia się zarysowały, że tylko gruntowna i szybka restauracya może ochronić je przed całkowitą ruiną.

Datki konkurencyjne zaledwie w części zdołają sprostać gwałtownej potrzebie. Kościół ten słynie z cudownego obrazu Matki Bożej, której pomocy zawdzięcza rycerstwo polskie w r. 1641 pełne chwały zwycięstwo pod Wojniłowem nad Turkami. Do stóp Jej ołtarza garną się pobożne rzesze, by zaczerpnąć sił i otuchy do znojnego żywota, wynurzyć swe troski, osuszyć swe łzy i bole ukoić. Prawdziwy tu tron łask i skarbnica miłosierdzia!

Dzisiaj ten przybytek Maryi bez blasku i krasy, dzisiaj mury jego sterczą ruiną, a widok ich uczuciem smutku napełnia serca ubogich parafian.

Dlatego w ich imieniu ośmiela się podpisany zwrócić się z całem zaufaniem do PT. Publiczności z uprzejmą prośbą, by najmniejszą ofiarą raczyła przyczynić się do odnowienia tego przybytku Bożego, który dla garstki tutejszych Polaków, rozproszonych wśród narodu ruskiego, jedyną jest ostoją wiary, ducha narodowego i myśli polskiej.

Łaskawe datki przyjmuje w imieniu komitetu x. Izydor Ziółkowski proboszcz obrz. łac. w Wojniłowie.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 6 sierpnia.

(Z). Brak wagonów na kolejach austryackich przybiera rozmiary formalnej klęski. Najbardziej zagrożone są nim obecnie fabryki cukru na Morawie, położone wzdłuż linii kolei Północnej. Skutkiem braku wagonów nie mogą one otrzymać węgla z kopalń w zagłębiu ostrawskiem, a tu początek kampanii już niedaleko, a one nie mają żadnych zapasów. Właściciele tych fabryk grożą rządowi procesem o odszkodowanie, jeżeli bezzwłocznie nie otrzymają potrzebnego im węgla. Zarząd austryackich kolei państwowych usprawiedliwia się tem, że pominąwszy już to, iż park przewozowy tych kolei jest w ogóle za szczupły, koleje węgierskie zatrzymują zadługo wagony austryackie, które zostają się na ich linie. Wszelkie urgensy i reklamacye nic nie pomagają, Węgrzy wysługują się austryackimi wagonami, jak mogą.

Na giełdzie była i dziś zniżka. Wiadomość o wyroku, wydanym przez trybunał związkowy w Chicago przeciw trustowi naftowemu, którym skazano go na grzywnę 29 milionów dolarów, wywołała popłoch na giełdzie nowojorskiej, a pośrednio oddziałała ujemnie także na targ berliński.

Z Paryża donoszą, że p. Thors, jeneralny dyrekter „Banque de Paris et de Pays-Bas" powrócił właśnie do Paryża z kilkomiesięcznej podróży po Ameryce Południowej i że rezultatem tej podróży jest szereg bardzo doniosłych projektów finansowych. Przedewszystkiem założone być mają francuskimi kapitałami dwa banki w Brazylii i Argentynie, nadto zawiązane zostanie towarzystwo celem budowy wąskotorowych kolei w głąb Argentyny, przez co olbrzymie obszary ziemi, leżącej odłogiem, wzięte zostaną pod uprawę zboża.

§ **Sprawozdanie giełdy zbożowej.** Budapeszt 6 sierpnia 1907 r. (Firma J. Weisz, eksport słoniny i smalcu, Siputcza 10).

Transakcye ubiegłotygodniowe obracały się wśród tendencyi spokojnej i wykazywały sporadycznie co najwyżej kilkuhalerzowe wahania w notowaniach. Niskie kursa amerykańskie osłabiły tendencyę dzisiejszą która jednak wobec znaczniejszego miejscowego zakupna powoli się wzmocniła i w ciągu południowego targu wywołała w pszenicy na październik kurs 11.49. Fiasko w pertraktacyach celnych z Serbią pozostawiło wolne pole tutejszym hodowcom nierogacizny, ceny jednak osiągnąwszy przed miesiącem najwyższą wysokość stale się utrzymują a nawet wobec silniejszego dowozu tuczonego i obecnie odpowiedniego na kłucie towaru nieco skłaniają się do zniżki. — Pszenica na październik 11.43 K., żyto na październik 8.90, kukurudza na maj 1908 r. 6.60, owies na październik 8.15. Kursa końcowe: Pszenica na październik 11.49, żyto na październik 8.92, kukurudza na maj 6.65, owies na październik 8.15. Smalec wieprzowy 74.50, trzypołciowa słonina 69.50, czteropołciowa 66.00. Wszystko w koronach.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

(Depesze popołudniowe).

Londyn. (Izba gmin). Deput. Richert, z partyi robotniczej, interpeluje sekretarza stanu dla spraw zagranicznych, czy zawiadomił rząd rosyjski, że Anglia odmawia zawarcia sojuszu z Rosyą w jakiejkolwiek formie, jeżeli narodowi rosyjskiemu nie zostanie przyznana wolność. Imieniem sekretarza stanu Greya odpowiedział podsekretarz Gibson i powołując się na to, iż Grey już raz oświadczył, że wewnętrzne sprawy Rosyi nie mogą wchodzić w rachubę podczas rokowań między obu państwami, dodał od siebie, że na interpelacyę Richerta odpowiadać nie będzie, ponieważ sprawa sojuszu z Rosyą nie stoi wcale na porządku dziennym obrad Izby.

Warszawa. Onegdaj wieczór w Olsztynie koło Częstochowy dwaj strażnicy ziemscy, wszedłszy do szynku miejscowego, zastali tam sześciu młodzieńców przy stole. Nagle młodzieńcy owi, zerwawszy się, dali kilkanaście strzałów do strażników, i położyli ich obu trupem. Dokonawszy tego zabójstwa, zrabowali napastnicy pobliski skład monopolowy, oraz skład wędlin i uszli w kierunku Częstochowy.

Tanger. Sułtan zawiadomił posłów, że nie odpowiada za bezpieczeństwo Europejczyków po za Tangerem. Wśród Marokańczyków panuje bowiem wzburzenie ogromne z powodu bombardowania Casa Blanca. Poselstwo francuskie zawiadomiło władze, że dla ochrony posłów mocarstw, wysadzona będzie na ląd straż.

HOTEL EUROPEJSKI.
ALBERT SZKOWRON.
Lwów — Plac Maryacki

Przyjechali dnia 8 sierpnia. M. br. Błażowscy z Nowosiółki. J. br. Błażowscy z Czeremchowa. P. br. Błażowska z Ryczowa. Pp. Niezabitowscy z Łanek. W. Klecki, T. Kwieciński i J. Plesnar z Krakowa. Dr. Schutt z Przemyślan. Pp. Dąbrowscy z Rzeszowa. S. Żuk Skarszewski z Żukowa. S. Kędzierscy z Meryszczowa. T. Lewicki z Koniuszy.

HOTEL FRANCUSKI.
Lwów — Plac Maryacki.
Restauracya. Pokój do śniadań. Wszelkie wina i delikatesy.

Przyjechali dnia 8 sierpnia. J. Lyss z Brzeżan. J. Warnbrun z Charlottenburgu. A. Dubieńska ze Skolego. L. Bahrynowski z Przemyśla. A. Friedowa z Nyiregyhaza. O. Nowacek ze Lwowa. J. Bochniewicz z Jasła. J. Tascher z Miesłuchowa. J. Szymonowicz ze Stanisławowa. D. Wąsowicz z Sanoka. K. Kahany ze Lwowa. L. Valter z Wiednia. J. Łopuszyński z Liska.

Budapeszt 8 sierpnia. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i za 50 kilogramów). Pszenica na październik 11·48—11·49, na kwiecień 11·74—11·75; żyto na październik 8·98—8·99; owies na październik 8·20—8·21; kukurudza na sierpień 6.80—6·81, na wrzesień 6·93—6·95, na maj 1908 6·68—6·69. Rzepak na sierpień 17·75—17·85. — Oferty na pszenicę: chętne. — Chęć kupna: słaba. — Usposobienie: utrzymane. — Pogoda: piękna.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30, Wiedeń 8 sierpnia.

Marki 117.52, renta majowa 96·45, węgierska **renta koronowa 91·90, akcye: austr. zakł. kredyt.** 649·75, węg. zakł. kred. 750·00, anglobanku 302·00 unionbanku 538·00, bankvereinu 533·25, länderbanku 429.00, kolei państw. 656·75, lombardy 156·50, akcye kolei Elbethal 000.00, fabryki broni 465.00, tytoniowe 000·00, alpiny 591·00, Rima Muranyi 539·00. prag. T. żel. 0000, losy tureckie 185·50, **ruble** 253.25. Usposobienie: spokojne.

5% renta rosyjska 1906 r. 83·15.

Lwów 8 sierpnia. (Z izby handlowej).
Obliczenie w walucie koronowej

Akcye za 100 K.: Kolej gal. Karola Ludwika po 400 Koron —.— do —.—. Kolej dworsko-Czern.-Jassy po 400 kor. 557 — do 563.—. Banku hipotecznego po 400 kor. 568·00 do 573·00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —.— do —.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 400.— do 500.—. Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 400—410.—

Listy zastawne za 100 K.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem 110·50 do 111·20 4 i pół proc. los. w 50 lat 099·20 do 099·90, 4 proc. los. w 60 lat 91·90. do 95·60. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 099·70 do 100·40. Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 95·10 do 95·80.— Tow. kred. Gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 96·40 do 00·00, 4 proc. los w 41 i pół latach 97·00 do —.—, 4 proc. los w 56 lat 95·00 do 95·70.

Obligi za 100 K.: Gal. fund. propinacyjnego 4 pro. 96·80—97·50. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 101·00 do 101·70. Kom. Banku kraj. 4½% (3-ej emisyi) 099.70 do 100·40. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4-procentowe po 200 koron 93·50 do 94·20. Pożyczki kraj. z r. 1873 proc. —.— do —.— 4 proc. z 1893 r. 93.50—94.20, miasta Lwowa 4 proc. 93.20 do 93·90, 4% bez podatku (konwers.) 96·00 - 96.70,

Monety. Dukat cesarski 11·30 do 11·43. Napoleondor 19·10 do 19·30. 100 ruble rosyjskie papierowe 250·00 do 252·10. 100 marek niemieckich 117·50 do 118·00

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1 maja 1907 r. według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31*, 1.30, 8.40***, 5.50*, 7.25, **8.55**, 9.45 5.25, 9.50*.
Z Rzeszowa: 1.10.
Z Podwołoczysk na dworzec główny: 7.20, 12.00, **2.16**, 5.40, 10.50*.
Z Podwołoczysk na Podzamcze: 7.01, 11.40, **2.00**, 5.15, 10.12*.
Z Czerniowiec: **12,20***, 8.05, **2.25**, 3.55, 9.00*.
Z Kołomyi: 10.05.
Ze Stanisławowa: 8.05.
Z Rawy i Sokala: 7.10, 12.40.
Z Jaworowa: 8.22. 5.00.
Z Sambora: 8·00, 10.30, 1.55, 9.20*.
Z Ławocznego: 7.29, 11.50, 10.50*.
Z Tuchli: 3.51.
Z Bełzca: 1.50.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12.45***, 3.45*, **8.25**, 8.40, **2.45**, 6.15*, **7.05***, 7.20, 11.00*.
Do Rzeszowa: 4.05.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: 6.20, 10.45, **2.17**, 7.00*, 11.15*.
Do Podwołoczysk z Podzamcza: 6.35, 11.08, **2.32**, 7.24*, 11.35*.
Do Czerniowiec: **2.51**, 6.10, 9.20, **1.55**, 10.40*
Do Stryja: 11.30*.
Do Rawy i Sokala: 6.12, 7.10*.
Do Jaworowa: 6.58, 6.30*.
Do Sambora: 6.00, 9.05, 4.30, 10.51*.
Do Kołomyi i Żydaczowa: 2.25.
Do Przemyśla Chyrowa: 4.05.
Do Ławocznego: 7.30, 2.25, 6.25*.
Do Bełzca: 11.05.
Do Stanisławowa, Czortkowa, Husiatyna: 5.50.

Pociągi lokalne:

Do Lwowa:

Z Brzuchowic (od 5 maja do 29 września wł.) 8·25, 5·30 popołud. i 8·20 wieczór; (od 5 maja do 29 września wł. w niedziele i rz. kat. święta) 1·46 popołudniu; (od 1 czerwca do 31 sierpnia wł. w niedziele i rz. kat. święta) 10·05 przedpołud.; (od 5 do 31 maja, od 1 do 29 września w niedziele i rz. kat. święta, zaś od 1 czerwca do 31 sierpnia codziennie) 9·35 wieczór.

Z Janowa (od 1/5 do 30/9 wł. codziennie 1·15 popołudniu i 9·25 wieczór; (od 12/5 do 15/9 w niedziele i rz. kat. święta) 10·10 wieczór.

Ze Szczerca od 26/5 do 15/9 wł. w niedziele i rz. kat. święta o 9·40 wieczór.

Z Lubienia od 12/5 do 15/9 wł. w niedziele i rz. k. święta o 11·50 wieczór.

Ze Lwowa:

Do Brzuchowic (od 5 maja do 29 września wł.) 2·28, 3·45, 5·45 popołudniu; (od 5/5 do 29/9 wł. w niedziele i rz. kat. święta) 12·41 popołudniu; i (od 1/6 do 31/8 wł. w niedziele i rz. kat. święta) 9·05 rano; (od 5 do 31 maja i od 1 do 29 września w niedziele i rz. kat. święta zaś od 1 czerwca do 31 sierpnia codziennie) 8·34 wieczór.

Do Rawy ruskiej 11·35 w nocy (każdej niedzieli).

Do Janowa (od 1/5 do 30/9 wł. codziennie), 9·15 przedpołud. i 3·35 popoł.; (od 12/5 do 15/9 w niedziele i rz. kat. święta) 1·35 popołud.

Do Szczerca 10·45 przedpoł. (od 26/5 do 15/9 wł. w niedziele i rz. kat. święta).

Do Lubienia 2·10 popoł. (od 12/5 do 15/9 w niedziele i rz. kat. święta).

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

18)

JERZY OHNET.

Między sztuką a bogactwem.

(Ciąg dalszy).

W tej samej chwili odbiły się w pamięci muzyka słowa Lavirona: „Wielkie dzieło tworzy się jedynie w skupieniu ducha, trzeba cierpieć, wydając je na świat. Artyści na te cierpienia skazani, za swoją odwagę i abnegacyę wynagradzani są sławą. Droga krzyżowa, prowadząca na szczyt wielkości, ciężka, ciernista, trzeba ją skrapiać krwią i potem. Gdy jednak tego szczytu dosięgniesz, świat cały cię podziwia, a ludy pamięć o tobie przechowają przez wieczność całą“.

Derstal zbudziwszy się ze swego zamyślenia, powiódł oczyma dokoła; ujrzał Henryka pełnego próżności, roszczącego pretensye do artyzmu, zdolnościami nie dorównywującego wygórowanej ambicyi; widział Zuzannę, dogadzającą wszelkim fantazyom swoim, pociągniętą chwilowo blaskiem zdobytej przez niego sławy, lekkomyślną, gotową go porzucić dla nowego jakiego bohatera salonów paryskich; matkę i ojca, dobrych ludzi w gruncie, ale zaufanych w wszechmocność bogactw materyalnych, przekonanych, że za pieniądze wszystko kupić można. Derstal zdawał sobie jasno sprawę z tego, że mógł paść ofiarą samolubnej żądzy własnej, harmonizującej z zachciankami owych miliarderów; tego nie chciał stanowczo. Po spożytym deserze rzekł:

— Północ blizko; pożegnam państwa. Wrócę w porze, gdy mój gospodarz zacznie rozczyniać ciasto na bułki.

— Zrobił się z pana tak wielki śpioch? — pytał Henryk, ofiarując Oliwierowi papierosa.

— Wstaję wcześnie, jak zwykły robotnik, a w południe kończę pracę moją.

— W takim razie odwiezie cię gondola nasza — ofiarował Brandon.

— Dziękuję; bocznemi drogami dojdę prędzej.

— Ale pana zobaczymy jeszcze? — dowiadywała się Zuzanna ze słodkim uśmiechem.

— Niewątpliwie. Niech jednak państwo nie przychodzą zamącać spokoju domu, w którym mieszkam; pobyt w nim utrudnilibyście mi tym sposobem. Nie znają mnie tam pod mojem nazwiskiem.

— Jakże więc możesz pan odbierać iisty?

— Sam chodzę po nie na pocztę; zresztą nie odbieram ich wiele.

Amerykanie wymienili z sobą zdumione wejrzenie.

— Jakże pan jesteś egzaltowany! — zawołał Brandon — wyrzekasz się dobrowolnie komfortu życia, odgrywasz przed samym sobą rolę nędzarza dla podniecenia wyobraźni. Dziwny pomysł! Mnie łatwiej idzie praca w kółku rodzinnem, po zabezpieczeniu możliwych wygód. Wolno jednak robić każdemu, jak mu dogodniej.

— Przyjdziesz pan do nas do hotelu Danieli pojutrze na obiad? — zagadnął Henryk.

— Jeśli sobie państwo tego życzycie...

— Prosimy stanowczo. Tylko dnia tego włóż frak i biały krawat, — rzekł szeptem Henryk.

Uśmiechnęli się porozumiewająco do siebie; Derstal chciał już prosić Henryka o wyjaśnienie zagadkowego uśmiechu; podejrzywał jakiś spisek, przez dumę wolał udać jednak, że go to nic nie obchodzi i pożegnał Amerykanów.

Gdyby czytał gazety, lub spojrzał chociaż na afisze teatralne, byłby wiedział, że tego dnia miało odbyć się przedstawienie „Erinu“ w teatrze la Fenice. Wystawa zapowiadała się świetnie; całe arystokratyczne towarzystwo weneckie gotowało się oklaskiwkć sławnego śpiewaka Marrini i pełną wdzięku Pozzoli, wykonawców ról głównych. Przytem wiadomość o pobycie Derstala w Wenecyi budziła ogólną ciekawość, a *Gazetta di Venezia* zapowiadała obecność znakomitego kompozytora na przedstawieniu. Dla zaprezentowania autora publiczności Brandonowie wynajęli podwójną lożę pierwszego piętra i cieszyli się nadzieją dzielenia z muzykiem spodziewanych tryumfów.

Przez ten czas Derstal, nie podejrzywając prowadzonej intrygi, zabrał się do pracy, spostrzegł jednak z żalem, że przerwa w regularnym trybie życia niekorzystnie oddziałała na jasność jego myśli. Złorzeczył Amerykanom, ich obiadowi i toalecie, którą zrobić był zmuszony. Zbieg okoliczności sprawił wszelako, że niebawem dowiedział się prawdy. W dzień przedstawienia, leżąc na łóżku, usłyszał Maryę Piję, mówiącą w sąsiednim pokoju do matki:

— To samo nazwisko wyczytałam na afiszu, ale czy podobna, iżby mowa była o naszym lokatorze?

— Nie rozmawiaj tak głośno, Pijo. Jakżeby równie wielki artysta mógł mieszkać dwa miesiące u biednych piekarzy, w nędznej części miasta?

— Kiedy on ciągle pisze nuty i tak pięknie śpiewa!... Brat mówił, że widział portret maëstra, wywieszony w oknie księgarni, i że bardzo do niego podobny.

Derstal zaciekawiony nadstawił uszy.

— W kieszeni jego paltota znalazłam, czyszcząc ubranie, taśmę krawiecką, na której stało: Oliwier Derstal; to samo nazwisko wydrukowane na afiszu la Fenice.

Artysta zerwał się jak oparzony, otworzył drzwi i zapytał tonem ostrym:

— Co za bajki rozpowiadasz?

— Przestrzegałam cię, Pijo, żebyś nie mówiła tak głośno... Oto, illustrissimo, ta mała ciekawska dowodzi, że pańską operę grają dziś w teatrze i nie daje mi spokoju, żądając, abym ją zaprowadziła na przedstawienie.

Przy tych słowach kobieta wskazywała gazetę, w której muzyk wyczytał:

„Teatr la Fenice.
Występ panny Angeliki Pozzoli i pana Gregorio Marrini.
„Erin“, sławny dramat liryczny kompozytora
Oliwiera Derstala,
libretto Klaudyusza Labarre.
Grywany z ogromnem powodzeniem w Operze paryskiej.“

Dziennik był z dnia bieżącego. Derstal odrzucił go od siebie i zamyślił się głęboko.

— Wszak prawda, że pan jesteś maëstro? — zagadnęła Marya Pija nieśmiało.

— Artysta otrząsnął się z zadumy, spojrzał na dziewczynkę i odpowiedział:

— Tak, Maryo Pijo, moje nazwisko wydrukowane; wolałbym jednak, żeby mnie zostawiono w spokoju.

— Alboż nie dumny pan z tego, że cała Wenecya zajmuje się panem?

— Nic mnie to nie obchodzi.

— Czy podobna? *Gazetta* dowodzi, iż posiadasz pan genialny talent kompozytorski.

— Niedorzeczna wasza gazeta. Nieprawdę głosi.

— Jakże mogłaby być nieprawdziwą wiadomość wydrukowana!

Naiwność dziewczyny rozbroiła Derstala. Wyjął z portmonetki dziesięć franków i podał je Maryi Pii.

— Widzę, że masz ochotę być w teatrze dla posłuchania muzyki waszego lokatora — rzekł. — Idź po bilety i niech do wieczora więcej o tem nie będzie mowy.

Wróciwszy do pokoju z zapalonym papierosem, zaczął przechadzać się zwolna. Rozumiał teraz powód przybycia do Wenecyi Brandonów, ich wtargnięcie do jego kryjówki, usilne zaprosiny Henryka na dzisiejszy wieczór. Artysta chciał dojść pobudek takiego narzucania się Amerykanów; byłże to objaw gorącego uczucia przyjaźni, poszukującej jego towarzystwa, wtedy nawet, gdy on ich unikać usiłował, czy też wybieg kokietującej go Zuzanny? Jeżeli fakt miał świadczyć o skłonności do niego młodej dziewczyny, nasuwała mu się w takim razie sposobność, jakiej drugiej nie znajdzie w życiu, prędkiego zdobycia majątku. Ładna kobieta i nieprzeliczone bogactwa! Wszak przypuszczenie jego stwierdzały słowa Amerykanki, wyrzeczone u Floryana: Wielki artysta stawiany być może na równi z księciem.

Uczucie dumy wywołało rumieniec na twarz Derstala; był kochany, ceniony. W perspektywie pełnej blasku widział wspaniałe pałace, rozległe włości, wytworne jachty, fabryki z rojami robotników, koleje żelazne, ułatwiające handel całego kontynentu, wszechwładne trusty, obejmujące zarzuconą siecią świat cały, ujarzmiające liczne ludy dla wzbogacenia królów złota, a to wszystko: władza, potęga, zbytek mogły stać się jego przywilejem! Dostał zawrotu głowy; tętniło mu w uszach, miał jakby jasnowidzenie olśniewającej świetnością przyszłości, zdobytej urokiem muzykalnego geniuszu. W ciszy ubogiego pokoiku zawołał niemal głośno: „Potrzebuję chcieć tylko, a wszystko to stanie się moją własnością!“ Dźwięk własnego głosu przywrócił mu przytomność. Spojrzał na proste łóżko żelazne, na którem sypiał tak spokojnie od dwóch miesięcy, na stół drewniany z leżącemi na nim nutami nowej partytury.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny **Ludwik Masłowski.** Papier z fabryki Braci Fiałkowskich. Z drukarni E. iniarza W